

PREZENTUJEMY

Siostra Nulla Służebnica Krzyża

BETLEJEM

Zapodziało nam się kędyś Betlejem
– kędyś nam z oczu znikło...
Czy je śnieżne zasypały zawieje?
Czy wulkan lawą przykrył?...
--

Odszukamy cię na nowo, Miasto Miłości,
Domie żywego chleba –
choćby nam siedem wierzchów żałości
przekroczyć było trzeba.
Przeplniemy wielkie jeziora słone
łez własnych i łez cudzych –
Przebrniemy przez opary westchnień długo tłu-
mionych
po zrębach rozbitych złudzeń.
Przezołgamy się jak po wążiutkiej grobli
po niteczce nadwątlonej nadziei,
przedrzemy się przez kolczaste zasieki żałoby
do Ciebie, Stajenko Cudu, Betlejem.
Choćby trzeba własne serce podeptać
ostami i głogiem zarosłe,
odszukamy Ciebie, ziemio Bożego uśmiechu
– wschodzącej pod śniegiem Wiosny – –
O skorupę lodu (czy też lawy zastygłej?)
być może poranimy ręce,
lecz musimy Cię odgrzebać i wydzwignąć,
miasto wyciągniętych Rączek Dziecięcych.
być może – za parę dni – ucieczka do Egiptu –
– Młodzianków pogrom krwawy! –
Lecz dzisiaj, o Betlejem, niech w was nie będzie
zgrzytów.
BÓG DO RADOŚCI NASZEJ MA PRAWO! --

UBÓSTWO

Odleciały ode mnie słowa próżne –
Odfrunęły daleko myśli płocze –
I już mi jest łatwiej milczeć niż mówić –
I już sercu dosyć na tym, że kocha --



O jak wielkie i swobodne jest serce,
Kiedy gestem pogardliwie wspaniałym
– Co ciętało przez wiele lat jak sknera –
Precz odrzuci jako ciężar i balast --

O jak proste, jakże proste jest życie,
Gdy mu czynność tylko jedna wystarcza:
By się spalić przed ołtarzem jak świeca
I świec innych mnogość ogniem rozjarzyć.

O jak cicha i swobodna jest dusza,
Kiedy usta spięte kłamrą milczenia.
miast rozprawiać – lepiej Ciebie słuchać –
– A ty, Panie, mówisz samym spojrzaniem --

SONET WOJENNY

Nie płaczą, Panie, moje oczy –
Źródłko słone dawno wyschło.
Od kul cysterny się rozprysły,
Tylko wewnętrzna ranka broczy.

Tylko mi ciężar duszę stłoczył
Jakby kto sery w prasie ścisnął –
O cóż za ciężar! – Jezu Chryste –
O jakiś smutek mnie omroczył!

Zamknęłam w sobie jak w szkatule
Świat czyichś nieszczęść i rozpaczy –
Zakrzepłe ły: garść szklanych kulek.

Cóż, kiedy nie da się inaczej? -- --
Całym bezradnym ludzkim bólem
Cudze mi serca w sercu płaczą...

Czytaj na str. 28

POWŚCIĄGLIWOŚĆ I PRACA

MIESIĘCZNIK KATOLICKI
WYDAWANY NAKŁADEM
XX MICHAŁITÓW

SPIS TREŚCI

- PREZENTUJEMY – s. Nulla SK 2
- A JEDNAK NADZIEJA – ks. M. Gładysz CSMA 3
- PIELEGNOWANIE ŹRÓDEŁ – ks. P. Prusakiewicz CSMA 4
- LIBERALIZM – M.M. 5
- NOWY ROK TRUDNYCH DECYZJI – B. Fedyszak-Radziejowska 6
- KOMU ZAGRAŻA O. RYDZYK? – M. Klecel 8
- HARRY POTTER RAZ JESZCZE – ks. B. Markowski CM 10
- MOŻNA NAS ZABIĆ... – M. Damasiewicz 13
- ZWYCIĘSTWO MIŁOŚCI – P. Smogorzewski 15
- NA KÓŁKACH Z UŚMIECHEM (1) – M. Malinowska-Orfinger 16
- MODLITWA ZAWSZE JEST CUDEM – rozmowa z Siostrą Wyzytką 18
- NAJSMACZNIEJSZY KRUPNIK... – I. Sikora 24
- OBALANIE STEREOTYPÓW – J. Lilpop 26
- WRACA STARE – ks. B. Markowski CM 27
- NIE WOJNA?! – J. Trammer 27
- NIEOBECNOŚĆ SIOSTRY NULLI – G. Pyszczyk 28
- SZARE JEST PIĘKNE – S. Michalkiewicz 30
- SZYDERSTWO CZY CYNIZM? – Żuk 31
- OŻARÓW – S. Niesiołowski 32
- POLACY NIE GĘSI – J. Wegner 33
- WIARA I ARCHITEKTURA – J. Pruszyński 34
- TRZEJ KRÓLOWIE SIĘ KLANIAJĄ – J. Kossakowski 35
- JAKA UNIA? – AWP 35
- CZY KOMPOZYTOR MOŻE BYĆ ZBAWIONY – M. Szreder 36
- MISJONARZE ŚW. RODZINY – OGŁOSZENIE 37
- WIELKI STYGMATYK – ŚW. O. PIO – rec. ks. M.G. 39

FOT. OKŁADKA I – G. Gałazka

Numer zamknięto 13 grudnia 2002 r.

ks. Mieczysław Gładysz

A jednak nadzieja



Końcówka roku 2002 upłynęła pod znakiem gorączkowego szukania odpowiedzi na pytanie natury ogólnonarodowej: dlaczego jest źle z naszą kondycją gospodarczą? Wiadomo, że winowajca sam się nie zgłosi, więc co znaczniesze media polskie (!!) jednym chórem zaczęły przekonywać, że byłoby znacznie lepiej, *gdyby nie ten Kościół...* Oczywiście nie cały – broń Boże! – ale niektóre jego instytucje, np.: **Radio Maryja** z o. Rydzykiem. I w tej sytuacji, gdy telewizja wielokrotnie sięga po wytarte taśmy, nagle pojawia się film pełnometrażowy (nawet z superatą), który w stylu zachodniego dreszczowca chce obudzić stare demony – już samym tytułem: **imperium...**

Ale ludzie wcześniej urodzeni znają takie sztuczki. Po prostu: temat zastępczy! A tak naprawdę – film o rzekomych *imperium* o. Rydzyka potwierdził wielokrotne utyskiwania Redemtorysty, że jest *szpicelowany, podglądany przez ukryte kamery*, że jest *straszony...* Film z pewnością świadczy o tym, że realizowała go na zamówienie grupa fachowców od propagandy. Na czyje zamówienie? Kogo dziś stać na utrzymanie wyspecjalizowanej ekipy, technicznie zasobnej – przez dłuższy czas, bo przecież materiały zbierane były długo... Kto za to płaci? Kto pytał polskiego podatnika (najsłabiej licząc 70% obywateli – katolików!), czy oczekuje takiej właśnie *rozrywki*?

Myślę, że to nie Rydzykowe, lecz *stare imperium kłamstwa* znów przemówiło. Ale nie popadam w pesymizm... Optymizmu dodało mi świadectwo pobożnego Polaka, pana Michała, który najpierw długo pościł, modlił się, pokutował, a potem nagle zwolnił tempo. Zapytany o przyczynę odrzekł: *– Szatan postanowił zgładzić Polaków. Podlegał prześladowców, szczerł oszczerców i donosicieli, wzniewał nienawiść w rodzinach, niezgodę na ulicach... Ale, gdy spostrzegł, że to tylko umacnia wspólnotę, postanowił sam stworzyć swoich Polaków. Jego Polacy tysiącami zalegli kraj, przyłączyli się do prawdziwych Polaków i kłamstwo mieszało się z prawdą. Dlatego pościłem, myśląc, że udamennie ten plan. Teraz przestałem, bo wiem, że Bóg odróżni fałszywego Polaka od prawdziwego, którego oświeci blaskiem swojego Oblicza, tak aby odróżnił prawdę od kłamstwa...*

Dla nas, wierzących – to nie przypadek, że Nowy Rok otwiera uroczystość Matki Bożej – Matki naszej nadziei. Przykładem także nie jest to, że Ojciec Święty zaproponował nową cząstkę różańca – cząstkę światła. Dlatego też z Bogiem na ustach, z różańcem w ręku, wkraczajmy w Nowy Rok z nadzieją w zwycięstwo światła Prawdy. ■

St. B. ks. Bronisław Markiewicz urodził się 13 lipca 1842 r. w Pruchniku k. Jarosława. Był kapłanem diecezji przemyskiej; ofiarą i cenionym duszpasterzem, a także profesorem Seminarium Duchownego. Od początku swego kapłaństwa szczególnie wrażliwy na religijne, moralne i materialne zaniedbanie dzieci i młodzieży, a także niedolę prostego ludu. Wypowiedział ostrą walkę wadom narodowym Polaków.

Postulując głosowi Bożemu udał się do św. Jana Bosko do Włoch i został jego uczniem. W 1892 roku wrócił do Polski i objął parafię w Miejscu Piastowym. Na przełomie XIX i XX wieku rozwijał ideę *powściągliwości i pracy oraz pracy u podstaw*. Stąd wynikała potrzeba organizowania zakładów wychowawczych dla dzieci i młodzieży opuszczonej, ubogiej lub zaniedbanej. Te dwie zasady przejął od św. Jana Bosco. Pisał m.in.: *Gdy te dwa pojęcia wejdą w krew i przekonanie większości ludu, inne czynniki życia społecznego z łatwością będą uznane, tj. Bóg, rodzina, Ojczyzna, własność itd... Albowiem przeciw tym dwóm czynnikom nasza skazona natura najbardziej powstaje i się sprzeciwia...*

Szybko dojrzała w nim myśl o założeniu nowej rodziny zakonnej. Jednak zanim powstało Zgromadzenie, w 1898 r. ks. Markiewicz założył w Miejscu Piastowym Towarzystwo *Powściągliwość i Praca*. Celem społecznym utworzonej instytucji było wychowanie i kształcenie sierot i ubogiej młodzieży w różnych zawodach rzemieślniczych. Do realizacji tych celów powstały zakłady wychowawcze w Miejscu Piastowym, Pawlikowicach i innych miejscowościach.

Jednak już wcześniej, bo 23 września 1897 roku, ks. Bronisław Markiewicz po raz pierwszy skierował prośbę o pozwolenie na założenie Zgromadzenia do Biskupa przemyskiego i do Ojca Świętego. Mimo usilnych starań nie doczekał się chwili zatwierdzenia. W opinii świętości zmarł 29 stycznia 1912 roku. Zgromadzenie zatwierdzono 29 września 1921 roku.

Proces beatyfikacyjny ks. Bronisława Markiewicza rozpoczął się w 1958 roku. 2 lipca 1994 roku został promulgowany dekret o heroicznosci cnót Sługi Bożego.



29 stycznia 2002 roku minęło 90 lat od śmierci założyciela michalitów – Czcigodnego Sługi Bożego ks. Bronisława Markiewicza. W związku z tą rocznicą rok 2002 dla michalickich rodzin zakonnych – męskiej i żeńskiej – oraz wychowanków i sympatyków Zgromadzenia, został ustanowiony **Rokiem Czcigodnego Sługi Bożego ks. Bronisława Markiewicza. Poświęcając ten rok księży Markiewiczowi, chciano przywołać postać i nauczenie Założyciela po to, aby przypomnieć, w obliczu dzisiejszych wyznań, rolę, znaczenie i istotę duchowości michalickiej, którą określa zawołanie św. Michała Archanioła: *Któż jak Bóg! oraz sposoby aktywności apostołskiej, którą powinna kierować zasada powściągliwości i pracy.***

Pielęgnowanie źródeł

Opowiada ks. Piotr Prusakiewicz CSMA
członek Zarządu Zgromadzenia św. Michała Archanioła

Inspiracją do ogłoszenia roku 2002 **Rokiem Markiewiczowskim** było kilka ważnych rocznic, m.in.: 90. rocznica świątobliwej śmierci ks. Markiewicza; 110. rocznica przybycia do Miejsca Piastowego i objęcia probostwa; 160. rocznica urodzin czy 135. rocznica świecenia kapłańskich. Chcieliśmy, aby powrót do źródeł naszego Zgromadzenia przyczynił się, poprzez odnowienie i pogłębienie refleksji do weryfikacji naszego życia codziennego i apostołatu, zwłaszcza w świetle następujących słów z testamentu Ojca Założyciela: *Poprowadźcie dalej dzieło, które nie jest moje, lecz Boże. Miłujcie się nawzajem i ukochajcie to dzieło święte z całej duszy. Czekają was ciężkie próby i duże cierpienia, lecz i pomocy Bożej nigdy wam nie zabraknie. Dopóki wiernie strzec będziecie ustaw naszych i wskazań, których wam udzieliłem...*

Nieodzownym elementem przeżywania **Roku Markiewiczowskiego**

w naszych wspólnotach lokalnych, jak i w całej rodzinie michalickiej, było świętowanie i wspomnianie rocznic, tak brzemiennych w skutki. Spoglądając na michalicką rzekę czasu, która płynie przez dzieje naszych Zgromadzeń w Kościele, uwielbialiśmy Boga i dziękowaliśmy Mu za te niepowtarzalne rocznice, które należą już do historii współpracy Boga z Ojcem Założycielem i Ojca Założyciela z Bogiem.

Dobrze znamy z *Zapisków życia wewnętrznego* Ojca Założyciela, jak bardzo cenił on sobie łaskę sakramentu kapłaństwa, określając go jako: *zaszczyt niezwykły, godność nad godnościami...* Dziękując Bogu za kapłaństwo naszego Założyciela i za dar każdego powołania kapłańskiego i zakonnego do naszych michalickich Zgromadzeń, 14 września 2002 roku – w wigilię 135. rocznicy święcenia kapłańskich Czcigodnego Sługi Bożego – zorganizowano pielgrzymkę naszych Zgromadzeń do

katedry w Przemysłu. W spotkaniu tym brali także udział dawni i obecni wychowankowie naszych placówek wychowawczych, tj. domów dziecka, oratoriów, szkół.

Przedstawiciele obu gałęzi naszej rodziny zakonnej nawiedzali też miejsce, gdzie pracował nasz Czcigodny Zakonodawca (parafie w Harciu, Błażowej, Gaci i Miejscu Piastowym). Głoszono tam okolicznościowe kazania przybliżające mieszkańcom postać ich dawnego duszpasterza oraz modlono się o wyniesienie go na ołtarze. Sami parafianie czynnie współpracowali w organizacji i przebiegu tych uroczystości, ukazując, jak bliskie sercu jest im przesłanie pozostawione przez naszego Założyciela. I tak np. w parafii Gać zorganizowano sesję naukową poświęconą Słudze Bożemu, nadano jego imię tamtejszemu gimnazjum oraz wystawiono na scenie dramat **Bój bezkrwawy**, którego autorem jest ks. Markiewicz.

Nie zapomnieliśmy także o pielgrzymce do miejsca urodzin Sługi Bożego – Pruchnika, gdzie, po uroczystej Eucharystii o jego beatyfikację, odbyły się zawody sportowe im. ks. Br. Markiewicza z licznym udziałem dzieci i młodzieży.

Osoba ks. Markiewicza była także przedmiotem katechez i pogadańek w szkołach, oratoriach i domach dziecka objętych naszym oddziaływaniem duszpasterskim. Owocem tej refleksji była wystawa **Ojciec Założyciel w oczach dzieci i młodzieży**.

Dużym zainteresowaniem cieszyły się konkursy wiedzy o ks. Markiewiczu zorganizowane w Miejscu Piastowym dla uczniów z archidiecezji przemyskiej, oraz w Stalowej Woli. Nadto gimnazjaliści przenieśli za scenę szereg treści z pism pozostawionych przez Sługę Bożego, biorąc udział w tzw. **Teatraliach**.

Ponadto dla uczczenia Roku Markiewiczowskiego zrealizowano kilka innych projektów:

– wznowiono poprawiony nakład książki: **Zapiski życia wewnętrznego** ks.

Bronisława Markiewicza;

– zorganizowano dwa sympozja naukowe, w których m.in. zapoznano uczestników z myślą pedagogiczną Ojca Założyciela (Miejsce Piastowe i Warszawa – UKSW) *;

– oddano do użytku i uroczystie poświęcono budynki (po przeprowadzeniu kapitalnego remontu) **Michalickiego Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych im. Ks. Bronisława Markiewicza** w Miejscu Piastowym;

– ukończono prace adaptacyjne i poświęcono kaplicę św. Michała Archanioła w kościele rektoralnym w Miejscu Piastowym;

– przeprowadzono kapitalny remont grobowca Ojca Założyciela na cmentarzu;

– dokończono zaplecze gospodarcze oraz rozpoczęto budowę wielofunkcyjnej hali gimnastycznej w placówce wychowawczej **Moja Rodzina** w Prądkowcach koło Przemysła;

– uczczono jubileusz 75-lecia Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Markach; – uczczono jubileusz 50-lecia michalickiej parafii pod wezwaniem św. Andrzeja Boboli w Markach;

– uczczono jubileusz 20-lecia michalickiej parafii pod wezwaniem Matki Bożej Królowej Aniołów na warszawskim Bemowie.

Godnym zauważenia jest również fakt, że to właśnie w Roku Markiewiczowskim, 13 października 2002 r., **Wyższej Szkole Zawodowej** w Jarosławiu nadano imię ks. Br. Markiewicza. Było to szczęśliwe uwieńczenie trwających już od jakiegoś czasu starań profesorów i studentów tej uczelni.

Rok Markiewiczowski, oprócz refleksji, świętowania i projektów był również sposobnym czasem do pokornej, nieustannej prośby o rychłą beatyfikację Ojca Założyciela i dar cudu za jego przyczyną.

**Wysłuchał i spisał
ks. Sylwester Łącki CSMA**

* **Patrz fotoreportaż:
str 40 (kontroladka)**

SŁOWNIK OD „Z” DO „A”

Liberalizm

Dla ideologów nieograniczonej wolności chrześcijańskie doświadczenie wolności jest *zakłamaną aprobatą dla niewoli*. Tymczasem zniewolenie polityczne i ekonomiczne bierze się wprost z wewnętrznej rezygnacji z wolności. Akceptacja dominacji silniejszego najczęściej idzie w parze z chęcią zdominowania słabszego i tak tworzy się hierarchia społeczna zwana *porządkiem dziobania*.

Klasy liberalizmu zauważają zniewolenie w kontekście państwa i przymusowych wspólnot politycznych, nie interesują się zaś tymi relacjami społecznymi, które stanowią korzeń zniewolenia człowieka przez państwo. Ucieczka przed odpowiedzialnością na ważne pytania prowadzi ich do nonsensu.

Popularny eseista liberalny Isaiah Berlin w swych znanych esejach zapytał wprawdzie, czy człowiek może być niewolnikiem natury lub namiętności. Cóż z tego, jeśli nie odpowiedział na to arcyważne pytanie. *Zyczę sobie, aby moje życie i decyzje zależały ode mnie, a nie od sił zewnętrznych jakiegokolwiek rodzaju* – wykrzyczał Berlin. Oto istota liberalizmu: rozpaczliwy krzyk. Ta sama nieakceptacja życia, co u Sartre'a: *Piekło – to inni*. Ale wolność od innych nie ma szans spełnienia. Wolność nie może się spełnić poza Bogiem, który jest **Innym**. Wolność spełnia się we wspólnocie z innymi. Hayek, Berlin, Milton Friedman i inni konstruktorzy liberalizmu XX-wiecznego nie potrafili wyjść poza życzeniowy dyskurs i swój mały świat amoralnego, ekonomicznego materializmu, świat nieludzkiej ekonomii, która nie jest obserwacją człowieka, tylko rodzajem inżynierii.

MM

ZWYCZAJNIE RZECZ BIORĄC

Nowy Rok trudnych decyzji

O nadchodzącym 2003 roku już dzisiaj możemy powiedzieć, że wejdzie do naszej historii niezależnie od wyniku akcesyjnego referendum. Dlaczego? Bowiem sam fakt podjęcia przez Polaków tak ważnej i przełomowej decyzji: wejść w strukturę wspólnoty europejskich państw czy pozostać poza jej granicami – będzie miał dla nas ogromne znaczenie. Co prawda ostatnie dwadzieścia kilka lat historii Polski przyczyniło nas poniekąd do przełomów i doniosłych wydarzeń, ale 2003 rok będzie kolejnym, o którym na pewno będziemy pisać w podręcznikach.

Polacy mający na karku co najmniej 50 lat doskonale wiedzą, że, począwszy od 1978 roku, zaczęły się u nas dziać rzeczy niemożliwe, rzeczy – nie do pomyslenia. Czy prawdopodobnym było uczynić Polaka głową Kościoła katolickiego? Dla milionów Polaków oczywistym było – nie, to nie może być realne. A czy realnym było wygrać batalię o niepodległość Polski? Wolne żarty! A Armia Czerwona? A Jałta? A nuklearna potęga Związku Radzieckiego?

Ogarniający nas w PRL-u koszmarnie beznadziejnie przytaczał i odbierał chęć do życia. A tu proszę, 22 lata temu podjęliśmy walkę z wielokrotnie silniejszym przeciwnikiem i mimo jego chwilowej przewagi w stanie wojennym – wygraliśmy rzeczy najważniejsze. Cena zwycięstwa była i nadal jest wysoka, bo wysokie były koszty załamania gospodarczego i społecznego spowodowane stanem wojennym. Ale warto było.

Od 1980 roku minęło zaledwie 9 lat i znaleźliśmy dość odwagi i rozumu,

by w pełni, w 100% wykorzystać szansę – wygraliśmy *prawie* demokratyczne (na 35%) wybory. Tak rozpoczęliśmy proces przejmowania kolejnych przyzółek totalitarnej władzy. Pełną demokrację wprowadzaliśmy *od dołu*, w gminach, wybierając po raz pierwszy – w 1990 roku – władze samorządowe. Czy nie jest to pewien symbol naszej uporczywej, żmudnej, ale konsekwentnej postawy – krok po kroku, pomalutku, ale, mimo wszystko – skutecznie? Potem przyszła demokracja w wyborach prezydenckich, a w końcu, w wyborach parlamentarnych. Zaledwie dziesięć lat, a tyle ważnych dat: 1980 i 1981, potem 1989, i 27 V 1990 – wybory do samorządów gminnych oraz 23 XI 1990 – wybory prezydenckie. Warto także zapisać w pamięci 27 października 1991, datę pierwszych demokratycznych wyborów do Sejmu. *Bodaj byś żył w ciekawych czasach* – jak powiadają Chińczycy...

Już zapomnieliśmy, jak niedawno zaczęliśmy praktykować demokrację i jak wiele się dzięki temu *praktykowaniu* zmieniło. Powstawały i upadały partie polityczne, do głosu dochodzili nowi politycy, czasami tylko *politykierzy*, jedni trwali, a inni przepadałi bezpowrotnie. Kto mógł przewidywać w czerwcu 2000 roku, gdy z wielkim hukiem i poczuciem wyższości L. Balczerowicz wyprzedzał *Unię Wolności* z koalicji z *AWS*, że po niespełna trzech latach po obu partiach nie zostanie żaden znaczący ślad?

Wyprowadziliśmy z Polski Armię Czerwoną i 12 marca 1999 roku wprowadziliśmy polskie wojska do *NATO*.

Żyjemy w czasach, w których rzeczy niezwykle dzieją się codziennie, a zwykle, tylko od czasu do czasu. Granice między poszczególnymi etapami zacierają się tak, jak kontury drzew za szybą pędzącego pociągu. Obok wielkich przełomów wciąż dzieją się sprawy pomniejsze.

Gdy w 2001 roku *TVP* wyemitowała pewien *Dramat w trzech aktach* sugerujący tajemne powiązania J. Kaczyńskiego z *FOZZ*, nikt, kto uważał się za człowieka rozsądnego, nie przewidywał, że w 2002 prezydentem Warszawy zostanie Lech Kaczyński. *Bodaj byś żył w ciekawych czasach...*

W listopadzie 2002 roku *TVP* ponownie użyła tej samej metody walki politycznej. Co będzie następstwem znanego wszem i wobec *szczególno dokumentu* poświęconego pewnemu *imperium* (tym, którzy mieli szczęście [!] nie oglądać tego filmu, wyjaśniam, że nie chodziło ani o Rosję, ani o Chiny, ani o *imperium* gazowe, komputerowe, naftowe, czy *ludowe*)? Tylko marzyciele lub katastrofściści mają dość odwagi, by prognozować, co stanie się z *imperium* ojców redemptorystów...

Ludziom rozsądnym i mało wymagającym marzą się rzeczy zwyczajne: a gdyby tak polscy sędziowie skazali w normalnym procesie chociaż jedną osobę odpowiedzialną za chociaż jedną zbrodnię popełnioną w czasach PRL? Może do więzienia trafi chociaż jeden posiadacz wielkiego i nieprawnie zdobytego majątku, posiadający wyraźnie polityczne koneksje, i to nie z J. Buzkiem lub M. Krzaklewskim – lecz z kimś z zupełnie innego układu politycznego. Niemożliwe? Zobaczymy...

A gdyby tak doszło do rewolucyjnych zmian w *TVP* i zniecałka podano nam prawdziwą informację, że w grudniu 2002 roku prokuratura uznała, iż wiadomość podana swojego czasu przez *Wiadomości TVP* o tym, że *PKN Orlen* sfinansował kampanię prezydencką M. Krzaklewskiego była w 100% nieprawdziwa? Przyznam, że w tę jedną rzecz uwierzyć nie sposób.



foto: P. Żyłowski

Przecież *TVP* ma zawsze rację, także wtedy, gdy mija się z prawdą.

Ale przecież wszystko może się zdarzyć w kraju, w którym życie przypomina tak dalece sensacyjny film, że aktorzy przestali zauważać, że grają w nim ważne role.

Koniec 2002 roku przynosi kolejne historyczne wydarzenia. W gorączkowej atmosferze kończą się negocjacje z *Unią Europejską*. Szczyt w Kopenhadze wydarzył się za kilka dni, więc nie wiem, czy *UE* ofiaruje Polsce to, co wydaje się dzisiaj niezbędne, by uznać, że wejście do wspólnoty europejskiej będzie dla Polski korzystne od pierwszych miesięcy, a nie – w *dalszej perspektywie*. Jak wiadomo, w *dalszej perspektywie* wszyscy znajdziemy się na tamtym świecie, zarówno unijnym, jak i pozaunijnym.

Potrzebujemy nieco wyższych kwot produkcyjnych mleka, by za kilka lat, gdy staniemy się zamożniejsi, pić mleko i jeść przetwory mleczne zapewniając godziwe dochody (głównie) – na-

szym rolnikom. Potrzebujemy nieco wyższych plonów referencyjnych, by dopłaty, które się wedle tych plonów przelicza, gdy osiągną 100%, dawały polskim rolnikom równe warunki konkurencji. Potrzebujemy w końcu nieco wyższego poziomu dopłat *na wejściu* do *UE* i krótszego okresu dochodzenia do ich pełnego wymiaru, by w pierwszych latach po akcesji z rolnictwa nie wypadli nasi najlepsi, tzw. *towarowi* rolnicy. I nie są to *fanaberie* jednej wąskiej grupy zawodowej rolników, lecz normalne oczekiwania podatkowników i konsumentów żywności. Ci pierwsi nie chcą łożyć z podatków na liczne zasiłki dla wypadających z rolnictwa, ci drudzy chcą tanio kupować żywność.

W styczniu czeka nas trudny proces poznawania treści ustaleń negocjacyjnych i zrozumienie, co oznaczają one dla warunków naszego członkostwa. Mam nadzieję, że pomoże nam w nim pluralizm mediów, niezależność dziennikarska i krytycyzm partii opo-

zycyjnych. Ufam, że debatujący w mediach politycy i eksperci wykażą odpowiedzialność na miarę wymagań, jakie wobec nich stawia dzisiaj Polska. Nie boję się wielkich słów. Ci, którzy wiedzą więcej i rozumieją lepiej, mają obowiązek podzielić się swoją wiedzą i *zapomnieć*, z jakimi partiami politycznymi sympatyzują i z jakimi politykami są związani.

Sądzę, że ostatnie dni negocjacji będą bardzo nerwowe, częściowo dlatego, że aktorzy mają świadomość, że muszą *grać* przed swoimi wyborcami rolę zdecydowanych obrońców ich interesów. Przedstawiciele *Komisji Europejskiej* zdają sobie sprawę, że z merytorycznego punktu widzenia nasze racje są przekonujące i zgodne z ustalonymi przez nich zasadami. Ufam, że nie zaryzykują ułomnego poszerzenia wspólnoty europejskiej, ułomnego, bo bez Polski będzie ono poszerzeniem dzielącym, a nie łączącym *oba płuca Europy*.

A jeśli wyniki negocjacji zostaną w referendum odrzucone przez demokratyczną większość naszego społeczeństwa i rok 2003 wejdzie do naszej historii z tego właśnie powodu? No cóż, jestem głęboko przekonana, że na tym nie zakończy się historia naszej integracji. Początkowe załamanie nastrojów, poczucie niepowodzenia i klęski – podobne do tego z grudnia 1981 roku, po wprowadzeniu stanu wojennego, przekształci się w stan mobilizacji narodu. Weźmiemy się w garść, wznowimy negocjacje, włączymy się w dzieło budowy wspólnoty państw *Unii Europejskiej* i poradzimy sobie ze wszystkimi problemami. Jesteśmy narodem dojrzałym, odważnym i przedsiębiorczym. Damy sobie radę.

Ufam Ojcu Świętemu, który 8 XII 2002 r. wezwał do towarzyszenia modelitwą politykom, którzy spotkają się na szczycie w Kopenhadze: *niech Bóg oświeci wszystkich Europejczyków, aby pozostali zjednoczeni, dając nadal innym ludom zaufanie i nadzieję...*

Barbara Fedyszak-Radziejowska

Marek Klecel

Komu zagraża o. Rydzyk?

To zdumiewające. W kraju, który, być może, jest już na krawędzi bankructwa, w którym połowa ludzi żyje na granicy niedostatku, w którym jest ponad trzy miliony bezrobotnych, a wkrótce pójną na bruk dalsze tysiące ludzi, w kraju – po kawałku wyprzedawanym, toczonym przez korupcję i przestępczość; w takim kraju, nagle, w ciągu jednego dnia, najważniejszym problemem staje się jakieś radio, jedna stacja radiowa – katolickie **Radio Maryja**. Nawet nie telewizja publiczna, która stała się partyną i prywatna, a jest utrzymywana z abonamentu, lecz radio utrzymujące się z dobrowolnych składek. Jednego dnia największe media elektroniczne i gazety informują, że to radio jest zagrożeniem dla kraju – demoralizując wiernych, siejąc nienawiść, ksenofobię, antysemityzm (co głoszone według takiego utartego schematu przez lata), i że staje się podejrzane o malwersacje finansowe, przestępstwa podatkowe, niejasne transakcje i powiązania, może nawet wyludzanie pieniędzy (te zarzuty, zresztą, też nie są nowe). Z powodu takich podejrzeń prowadzono już wcześniej śledztwa, które jednak zostały umorzone.

Największym jednak powodem do zmartwienia dla wszystkich, którzy akurat w ten sposób objawiają *troskę o dobro kraju*, jest osoba założyciela i dyrektora radia o. Tadeusza Rydzyka. Można mu zarzucić bardzo wiele, przede wszystkim *sprawstwo kierownicze*, lekceważenie prawa, niesubordynację, gigantomanię i szkodliwość, jak twierdzą zawsze *lepiej wiedzący wychowawcy narodu*, wpływ na umysły i dusze ludzkie. Nie wspomnę już o poziomie wiary, o który zawsze najbardziej troszczą się niewierzący. W oczach i myślach tych wszystkich o. Rydzyk wyrósł na groźnego demona, który jest w stanie sam pograć kraj w ciemności i doprowadzić go do upadku.

Więc może nie należałoby się dziwić, że bije się na alarm, że telewizja publiczna, *Rzeczpospolita*, *Gazeta Wyborcza*, a także znane pismo *Nie* jedno-myślnie piętnują groźnego pretendenta do władzy nad duszami, odkrywając w nim jakże niskie pobudki i zadatki na coś jeszcze gorszego, co trzeba zdusić w zarodku. Mówiąc jednak serio, wolno się dziwić, że media, tak potężne, po raz pierwszy przemówiły wspólnie, jakby połączyły swe siły w sposób godny, śmiej twierdzić, lepszej sprawy. Nie przypominam sobie, by przemawiały wspólnie w sprawie afery **FOZZ**, w sprawie odbudowy i uwiarygodnienia Polski po komunizmie, degradacji materialnej i moralnej społeczeństwa po 13 latach chaotycznych zmian. Przemawiają wspólnie w sprawie o. Rydzyka – on ich dopiero połączył i zjednoczył. Czy to również nie jakaś zasługa. Trudno też nie zadumać się nad okolicznością, że szanujące się media stanęły w jednym rzędzie z pismem Jerzego Urbana. Czy to ideał sięgnął bruku, czy brukowiec się nobilitował? Nie byłoby to specjalne zmartwienie, gdyby nie okoliczność, że teraz pismo *Nie* ma nie jako lepsze prawo do istnienia niż **Radio Maryja**. Co choćby ze względu na przekazywane treści trąci absurdem.

Sam zaryzykuje jeszcze większą *teorię spiskową*. Skoro nastąpiło tak wielkie zmasowanie sił i środków, takie zjednoczenie szyków i zwanie szeregow na frontie walki z ciemnotą, wstępnictwem i zabobonem ku naprawie i modernizacji Rzeczypospolitej, to oznacza, że o. Rydzyk rzeczywiście dokonuje właśnie zamachu na Rzeczpospolitą. Można tym bardziej w to uwierzyć, że w kilka dni po programie telewizyjnym *Imperium ojca Rydzyka* sprawą zajął się rząd i prezydent, nakazując ponowne sprawdzenie spraw umorzonych przedtem przez prokuraturę i urzędy podatkowe. Sprawa o. Ry-

dzka i **Radia Maryja** nabrała więc wagi państwowej. Zapewne o to chodziło.

Przyznam się, że wspomniany program telewizyjny przypomniał mi czasy *stanu wojennego* i jego propagandy, gdy **TVP** z łatwością preparowała dowolne materiały na wybranych *wrogów ludu, ustroju i sojuszu ze Związkiem Radzieckim*. Autorzy programu wykorzystali jakiegoś znerwicowanego, z trudem panującego nad sobą *ekszakonnika* od lat mieszkającego w Niemczech, który niewiele miał do powiedzenia prócz uwag *o złej księgowości* (przypomina się *księgowość kreatywna* wykryta po niedawnych wielkich upadkach amerykańskich koncernów), a zakończył dramatycznym apelem do o. Rydzyka: *Tadziu, odejść, przekaz radio w lepsze ręce*, wywołującym tylko poczucie zażenowania i wstydu. Wykorzystano słabość człowieka. Nic dziwnego, że mało kto chciał z autorami programu rozmawiać.

Trzeba przyznać, że ten program nie był *ideologiczny*, postanowiono wykaazać, że w **Radia Maryja** dokonują się pospolite przestępstwa: podatkowe, skarbowe, może wyludzanie pieniędzy. Znanie powiedzenie, że *jak nie wiadomo, o co chodzi, to na pewno chodzi o pieniądze*, trzeba w wypadku o. Rydzyka gruntownie zmienić, rozszerzyć. Jeśli tak głośno mówi się o pieniądzach, to nie chodzi o pieniądze, chodzi o rząd dusz. Te wszystkie media, które o. Rydzyk tak spektakularnie połączył swą osobą i dziełem, nie mogą widać ścierpieć, że **Radio Maryja** ma kilka milionów wiernych i ofiarnych słuchaczy, którzy ufają takiemu właśnie przekazowi i mogą mieć w nim udział, mogą w tym radiu się wypowiedzieć. Media, udające zatroskanie stanem dusz słuchaczy, chcą przedstawić o. Rydzyka jako uzurpatora żadnego zarówno władzy, jak i pieniędzy, w najlepszym zaś wy-

padku jako zwykłego malwersanta, bo miliony słuchaczy radia *przeszkadzają* w propagandzie *Unii Europejskiej*, tworzeniu pewnego modelu życia, pełnej laicyzacji i standardyzacji społeczeństwa.

Sprawa **Radia Maryja** ujawnia głęboką hipokryzję, która tkwi w naszym życiu publicznym. Mówi się więc, że **Radio Maryja** jest polityczne, a nie powinno, ale niewielkim zarzutem jest to, że telewizja publiczna jest nie tylko polityczna, lecz także zwyczajnie partyną. Mówi się, że Kościół nie powinien wtrącać się do polityki, ale jeśli jego najwyższy zwierzchnik będzie zachęcał do wstąpienia do *Unii* – nie bezwarunkowego przecież, co widać w jego pismach – to wolno mu się wtrącać.

Nie ma, o ile wiem, obowiązku słuchania **Radia Maryja**, tak się jednak składa, że najbardziej je krytykują, żądając właściwie likwidacji, ci co go nie słuchają, ale wiedzą, że jest złe. Są oni zarazem najczęściej wielkimi zwolennikami demokracji, wolności słowa i pluralizmu, tyle że rozumianych według własnego *widzimisie*. Wolność, demokracja – tak, ale dla *naszych*, dla *swoich*, koncesjonowana dla *slusnych celów*. Zabawne, jakie boje o tę wolność toczą nasi naiwni, a zarazem doktrynerscy liberalowie, dopuszczający wolną grę wszystkiego ze wszystkim z wyjątkiem jednego, tzw. *prawicy*, cokolwiek by ona miała znaczyć i jak się kojarzyć. Dzisiejsi liberalowie mają w ogóle największy kłopot z wolnością. Wolność jest dobra dla nas, ale nie dla innych. Zwykli powiadać, że obowiązuje wolność wyboru, można odrzucać to, co uzna się za niedobre. Podobnie z **Radia Maryja**. Nie ma przymusu słuchania go, można go nie słuchać, ale nie należy popadać w hipokryzję, udając, że broni się wartości, których raczej się nie w ogóle nie ceni.

Niby stawia się u nas za wzór przykłady przedsiębiorczości, sukcesu, kariery, tworzenia czegoś z niczego, ale oczywiście nie dotyczy to radia o. Rydzyka. A nawet w tym zenującym programie telewizyjnym trudno było ukryć, że dzieło stworzenia tej instytucji, któ-



for. P. Zyczeński

ra się dalej rozwija i pomnaża, jest imponujące.

Wreszcie publiczność tego radia. Tworzy ona kilkumilionową już, dobrowolną wspólnotę religijną, a zarazem samopomocową, co jest swoistym fenomenem już nie tylko medialnym, lecz także społecznym. Radio ma ścisły program religijny, ewangelizacyjny i misyjny, ale też, przez współudział słuchaczy, zyskuje także program społeczny, a nawet polityczny, co nie może być naganne, jeśli wyraża się w tym troska o dobro kraju i innych ludzi. **Radio Maryja** stało się też jedynym może niezależnym forum, w którym mogą się wypowiedzieć ludzie nie mający gdzie indziej prawa głosu, którzy zostali niejako pominięci w polityce społecznej i kulturowej III Rzeczypospolitej. Teraz toczy się gra o ich głosy i dusze. Cóż jednak zrobiono przez 13 ostatnich lat, by przekonać ich do siebie i do wspólnego dzieła odbudowy Polski, do stworzenia optymalnego porządku społecznego. Wykorzystywano ich tylko jako wyborców uwiarygodniających kolejne ekipy polityczne i obywateli utrzymujących państwo. Pierwsze wybory 4 czerwca 1989 roku i ich wynik, który dawał wszelkie prawa do rzeczywistych i gruntownych przemian w Polsce, zostały odrzucone lub zlekceważone. Wybrano układ dający większe udziały for-

macji PRL niż III RP. Nic dziwnego, że wielu ludzi poczuło się oszukanych lub zdradzonych, a ich liczba urosła przez te lata w miliony.

O co więc w tym wszystkim chodzi? Komu zagraża o. Rydzyk? Państwu, potężnym mediom i ich rzeczywistym imperiom, panującym trendom politycznym, czy też własnym słuchaczom, których ma rzekomo demoralizować? To pytanie wcale nie jest już abstrakcyjne, konkretnie brzmi ono tak: czy w ogóle zlikwidować **Radio Maryja**, czy też odebrać je o. Rydzykowi? Jest w tym brutalna, ale coraz częściej stosowana u nas reguła: zrobił swoje, więc może odejść, albo też: stworzyłeś dzieło zbyt znaczące, które zagraża innym i musisz z niego zrezygnować, bo inaczej dzieło zostanie zniszczone. To reguła zawiści i bezwzględnej konkurencji. Nie wiem, czy na tym może polegać europejski standard współżycia i aspiracji do rzeczywistego, wszechstronnego rozwoju.

Redakcja **Powściągliwości i Pracy** oraz **Wydawnictwo Michalineum** solidaryzują się z o. Tadeuszem Rydzykiem **CSsR** – laureatem nagrody **Bóg Zapłać** oraz **Radia Maryja**

Z apetytem *skonsumowałem* cztery tomy **Harry'ego Pottera** i nie poczułem się ani porażony przez satanizm, ani zachęcony do magii. Ale co to dla dzieci? Wszak **Harry Potter** jest książką dla dzieci, poczułem się więc zobligowany do głębszej refleksji. Tym bardziej, że na co dzień pracuję z małymi, a inteligentnymi czytelnikami wspomnianej książki. Nikomu nieznaną nauczycielką języka angielskiego, samotnie wychowującą córkę i przez dłuższy czas klepiącą biedę na zasiłku dla bezrobotnych – zaistniała w 1997 roku jako 32-letnia autorka **Harry'ego Pottera**, w roku 1999 została milionerką, w roku 2000 z rąk księcia Karola otrzymała *Order Imperium Brytyjskiego*, zaś w roku 2001 jej fortuna przekroczyła 100 milionów funtów. W tym czasie cztery tomy zostały wydane w 47 językach i w nakładzie 100 milionów egzemplarzy. Harry Potter został bohaterem dziecięcej wyobraźni, a jego Twórczyni została okrzyknięta mianem genialnej. Ale...

Przez część mediów **Harry Potter** został odsądzony od czci i wiary. Zacytujmy niektóre opinie: *Zachowania i przesłanie lansowane w Harrym Potterze są bardzo szkodliwe dla delikatnych i nie do końca ukształtowanych osobowości ludzi młodych i przyniosą straszliwe skutki w przyszłości* (*Nasz Dziennik*, nr 81/2002, s. 12); *Harry Potter jest kolejnym przykładem na to, że współcześnie bardzo wyraźnie próbuje się uspić wrażliwość naszych sumień, rozmywając granicę między dobrem a złem* (*Niedziela*, nr 17/2002, s. 18); *Zamiast gloryfikacji przyjaźni i uczciwości znajdujemy w książkach Joanny Rowling apoteozę egoizmu i kłamstwa* (*Frona*, nr 25/26 s. 148). Zasadniczy zarzut dotyczy zresztą obfitości tematów magicznych i okultystycznych. Przeciwnicy **Harrego Pottera** twierdzą: mamy tu do czynienia z realistycznym światem magii, a nie magicznym światem wyobraźni. Na tej podstawie książka została poddana zdecydowanej krytyce w polskich mediach katolickich (wyjątek stanowiły teksty w *Przewodniku Katolickim* i... *Małym Gościu Niedzielnym*), spotkała się też ze zdecydowanym sprzeciwem wielu Kościołów chrześcijańskich na całym świecie. Ale niektóre zarzuty wobec książki wydają mi się chybione.

Negatywny stosunek do rodziców i do rodziny? W książce pojawiają się normalne rodziny: rodzina czarodziejów Rona Weasley'ego, mugolska (czyli nieczarodziejska) rodzina Hermiony, rodzina samego Harry'ego... Harry neguje rodzinę? Odrzuca autorytet osoby starszej

(czyli ciotki Marge)? Bezpardonowo mści się na najbliższych? Takie zarzuty formułuje Amadeusz Bielecki (*Frona*, nr 25/26 s. 147). Odnoszą się do opisu w III tomie powieści (s. 30), ale wcześniej czytamy epitety, jakimi obrzucili

zawinione (zobacz: t. II, s. 215, czy t. IV, s. 312: *ze wszystkich stron spotykał się z niechęcią i pogardą*), zaś dla przyjaciół jest przyjacielem – temu nie da się zaprzeczyć. Czy myśli tylko o sobie i jest przywiązany do pieniędzy?

Tysiąc galeonów wygranej, które ofiarował Fredowi i Georgowi na założenie sklepu – chyba zaprzecza takiej tezie (zobacz: tom IV, s. 757).

Dzieci nie uczą się niczego dobrego? Przeczą temu twierdzeniu opinie dzieci, które oglądały ekranizację I części (**Harry Potter i kamień filozoficzny**, rok 2001): *Film Harry Potter uczy nas, że należy «trzymać język za zębami», to znaczy nie zdradzać czyichś tajemnic...; na tym filmie osoby, które się boją, mogły przezwyciężyć swój strach...; Hermiona zachęca nas do czytania książek...; film uczy nas miłości i przyjaźni...; film zachęcił mnie do grania w szachy...; film zachęca nas do uprawiania sportów...; uważam, że uczy nas odwagi...*

Jeden z rozdziałów IV tomu zawiera aż cztery zabójstwa? Czy tradycyjne bajki są pod tym względem niewinne? Siegam po pierwszą z brzegu – to *Jaś i Małgosia* (bajka-rozkładanka wydana w... Chinach). Kończy się tak: *Małgosia rzuciła się na czarownicę, mocno popchnęła ją i przedko zatrzasnęła drzwiczki pieca. – Koniec z nią! – rzekła Małgosia z dumą. Uwolniła Jasia z klatki i wkrótce wyruszyli do domu, nie oglądając się za siebie... Zabójstwo dokonane przez Małgosię jest jedynie bardziej abstrakcyjne (być może), niż zabójstwa dokonane w *Harry'm Potterze*.*

Harry Potter raz jeszcze

ks. Bogdan Markowski CM

ciotka Marge rodziców Harry'ego (matka: czarna owca, która zadala się z nicponiem; ojciec: beżużyteczny, leniwy darmozjad, bez konta w banku). Harry usiłuje zdusić wzbierający w nim gniew, ale bezskutecznie; bardzo kocha swoich, nieżyjących już rodziców, i właśnie w obronie ich czci zamienia ciotkę Marge w... balon, który ulatuje ku sufitym. Oczywiście, w książce nie brakuje rodzin z *usterkami*, zaś krewni Harry'ego, którzy go adoptowali, są przedstawieni w skrajnie negatywnym świetle. Co zaś wydało mi się ciekawe: w IV tomie jest mowa o dwóch negatywnych bohaterach (to lord Voldemort i Barty Crouch), którzy dokonali zbrodni na swych ojcach, a byli to ojcowie, którzy się nie sprawdzili; czyżby Autorka przekazywała myśl, iż brak dobrego, oddanego ojca kładzie się złym cieniem na przyszłości dziecka?

Harry Potter nikomu nie pomaga? Nikogo nie obdarowuje? Jest wbijany w pychę przez otoczenie? Harry Potter wcale nie jest lubiany przez wszystkich nauczycieli i uczniów Hogwartu (przykłady: profesor Snape czy banda Draco Malfoya), spotykają go niepowodzenia i przykrości, często nie-

Ocena szaty literackiej wykazuje pewne sprzeczności: **czy powieść charakteryzuje bardzo ubogi język, czy też mamy do czynienia z bardzo błyskotliwą formą? Język tej siedmiotomowej sagi to w rzeczywistości język gier komputerowych i telewizyjny – pisze wspomniany Amadeusz Bielecki. Czy to krytyka – czy pochwała? Jeżeli Autorce udało się przełożyć język gier komputerowych (niektórzy twierdzą, że jedynie rozumiały dla części młodych) na język powieści – to rzeczywiście jest pisarką genialną! I wówczas nie dziwi, że dzieci czytają powieść po raz drugi i trzeci (a znam wielu takich czytelników). Jeżeli zaś każdy powód do krytyki jest dobry – to może należałoby po prostu zacytować opinię Raymonda Briggsa (angielskiego krytyka J. K. Rowling): *Co za tupet, kiedy jakaś przyszła nowicjuszka, młodsza o dziesięć lat, wdziera się do profesji dla starszych i natychmiast odnosi kolosalny sukces. To nie fair... – Może to nie fair, że J. K. Rowling istnieje? I pisze?***

Teraz będzie bardziej poważnie. Zwolennicy **Harry'ego Pottera** – twierdzi ks. Aleksander Posacki – nie roz-

różniają między magicznym światem wyobraźni a realistycznym światem magii. To przesąd intelektualny i redukcjonizm, który powoduje niedostrzeżenie niebezpieczeństwa okultyzmu i magii, co łączy się z brakiem doświadczeń w tej materii czy brakiem wiedzy o szkodliwości magii. Niewątpliwie, nie jestem specjalistą w temacie i brak mi doświadczeń (chwała Panu Bogu!). Może dlatego nie wydaje mi się, by dzieci chciały praktykować magię. Bo, jak miałyby to robić? Czy istnieje zaklęcie: *ALAHOMORA*, które otwiera wszystkie drzwi? *VINGARDIUM LEVIOSA*, które unosi przedmioty? *PETRIFICUS TOTALU*, które petryfikuje człowieka? Albo: *CRUCIATUS*, aby zadawać nieograniczone cierpienia? Lub *AVADA KEDAVRA*, które kończy się śmiercią ofiary? Czy dzieci będą szukały zwierciadła *AIN EINGARP* (czyli PRAGNIENIA), by zobaczyć pragnienia swego serca? Czy będą poszukiwały w sklepach mioty do latania, model *Nimbus Dwa Tysiące*? Czy będą hodowały skłatki *tylnowychowe*? Albo: *norweskie smoki kolczaste, rogowony węgierskie*? Czy miałyby się lękać *zielonego bazyliuszka*,

który zabija samym spojrzeniem? Jeżeli przeciwnicy **Harry'ego Pottera** wierzą, że taki magiczny świat istnieje i jest groźny dla naszych pociech... Cóż, muszę przyznać, że jestem człowiekiem słabej wiary. Ale...

Problem istnieje! **Magia nie jest fikcją, lecz praktyką, która otwiera na zło!** Praktyki okultystyczne są ciężkim grzechem, podobnie jak zlorzczenia czy przekleństwa dotyczące miejsc i osób, które są praktykami okultystycznymi. Otóż źle się dzieje, jeżeli takie praktyki nie są ocenione jako złe moralnie – a jest faktem, że nie są! I trzeba zauważyć, iż problem polega na tym, że magia rodem z baśni czy z własnej głowy – *jak loty na hipogryfie czy używanie lajnobomb* – miesza się w książce z magią rodem z praktyk okultystycznych – *jak numerologia czy wróżenie z fusów*. To pomieszanie rzeczywistości sprawia, że magia powieści nie jest dla dzieci pociągająca (tak myślę): bo jak ją zastosować? Pytanie brzmi: *co jednak będzie w przyszłości? Czy nie mamy tu do czynienia z inspiracją do niezdrowego zainteresowania okultyzmem w przyszłości?*

Nie należy więc lekceważyć krytyki Harry'ego Pottera, także wówczas (a może tym bardziej?), gdy wiemy, że najwybitniejsi krytycy – ks. Aleksander Posacki czy Gabriel Amorth – są specjalistami doświadczonymi w temacie szkodliwości magii i dlatego bardzo uczulonymi na jej propagowanie. A tutaj mamy 1919 stron magicznego świata. Fikcyjnego, co prawda, ale czy do końca?

W książkach J. K. Rowling Pan Bóg nie istnieje. To prawda. Lecz tak jest, niestety, w wielu współczesnych książkach dla dzieci. Rowlingowie nie chodzili do kościoła, a Joanna i jej siostra Diana nie uczęszczały do szkółki niedzielnej – napisał biograf J. K. Rowling (Sean Smith, *Biografia J. K. Rowling*, Wrocław 2002). To widać: Biblia zdaje się być dla niej książką nieznaną. Jednocześnie Joanna miała normalne dzieciństwo, a jego ważnym elementem była lektura książek dla dzieci, od klasycznych dzieł literatury angielskiej ⇨



poczynając. I to również jest widoczne... Uczniowie Hogwartu mają więc Świąta Bożego Narodzenia i Wielkanocne (i świąteczną przerwę w nauce), tyle, że są to święta wyprane z treści religijnej, przeżywane tylko w wymiarze zewnętrznych, bogatych dekoracji. Jeżeli jest to zarzut – to musi dotyczyć przeżywania świąt w ogóle w dzisiejszych społeczeństwach Europy, również naszego (po części) nie wyłączając...

J. K. Rowling twierdzi, że nie wierzy w magię. Tym bardziej więc szkoda, że Pan Bóg jest dla niej również, co najwyżej, odległym źródłem świątecznych dekoracji, a książka przez wielu jest i będzie odbierana jako potwierdzenie tezy: *Gdzie nie ma wiary, tam królują zabobony. Gdzie nie ma Boga, tam królują zjawy...*

Zgadzam się, po części, z ks. Posackim, że *humor w książkach J. K. Rowling jest infantylny i niemoralny*, ponieważ podejrzewam Autorkę o **bardzo ograniczone poczucie humoru w ogóle**. Przesycenie książki ciepłym humorem nadałoby jej inną wartość i uczyszyło część głosów krytycznych. A jednak: Autorka opisywanego *czarodziejstwa* nie traktuje do końca ze śmiertelną powagą! Doskonale widać to na lekcjach demaskowania przyszłości profesor Trelawney: sama profesor ma kłopoty z rozpoznawaniem przyszłości, chłopcy podsuwają jej zmyślane wizje przyszłości, które ta bierze za dobrą monetę, zaś Ron Weasley egzamin kwituje słowami: *to wszystko bzdury, nie kompletnie nie wiedziałem, więc wstawiłem jakiś kit* (tom III, s. 337). Cóż za smakowita kpina z własnych pomysłów! Ale dzieci tego nie zauważą, podobnie jak poważni krytycy J. K. Rowling.

Co mnie osobście najbardziej zastanawia czy niepokoi? Autorka ma problemy z oceną poziomu wrażliwości dziecka albo ma jakiś przewrotny cel w zwiększaniu dawki okrucieństwa w kolejnych tomach powieści czy w nieustannym pastwieniu się nad rodziną Dursley'ów (czyli przybraną rodziną Harry'ego). Czy książkę dla dzieci uważa za najlepsze miejsce do propagowania nowych, *modnych* światopoglądów? Harry

powtarza zdanie dyrektora Hogwartu, profesora Dumbledore'a: *dla należycie uporządkowanego umysłu śmierć jest tylko początkiem nowej wielkiej przygody*. New Age? Metoda Silvy? Chociaż – gwoli prawdy – dodajmy, że następane zdanie brzmi: *Zawsze mówiłem, że on jest trochę stuknięty – powiedział Ron, sprawiając wrażenie, jakby nim jeszcze wstrząsnęło, że aż tak bardzo [Dumbledore jest stuknięty – przyp. mój]* (tom I, s. 311). Wreszcie Rowling zdaje się być *politycznie poprawna* aż do bólu: *Tak, ale tu chodzi o prawo – powiedziała Hermiona z przerozoną miną. – Tu nie chodzi o jakieś głupie przepisy szkolne* (t. IV, s. 593). Czy to zdanie odzwierciedla sposób myślenia Autorki? Ze liczy się tylko prawo (zauważmy: stanowione przez ludzi), a poza tym obowiązuje tolerancja, wszystkie chwytły dozwolone i *robota co chceta*? W powieści znajdziemy zapewne więcej takich zastanawiających elementów.

Czy nie ma książek wartościowych? – zapyta ktoś. Cóż, z wiadomych względów J. K. Rowling nie napisze książek inspirowanych Biblią. Ale przecież nie brakuje takich w księgarniach, nie tylko katolickich, lecz ktoś zajmie się ich promocją na skalę *Harry'ego Pottera*? Kto poleci dzieciom chociażby *Powrót Taty* Adama Mickiewicza, ostatnio na nowo i pięknie wydany. A jeśli poleci – czy dzieci będą zachwycone taką lekturą? Niestety, czasy są takie, że skuteczną promocję i to w kształcie *Harry'ego Pottera*, może dziś przeprowadzić wydawca *Gazety Wyborczej* czy firma *Coca-Cola*, a nie zrobi tego *Nasz Dziennik*.

Czy bronię Harry'ego Pottera? Na pewno nie jest to książka dla małych dzieci! Na pewno są lepsze książki dla starszych, ale – w moim przekonaniu (powtórzę to jeszcze raz) – *Harry Potter nie jest podręcznikiem magii ani, tym bardziej, satanizmu*. Zgadzam się z opinią, którą wyraził Krzysztof Kóć: *Problem tkwi gdzieś indziej. W kontekście, w jakim pewne treści się pojawiają. (...) Harry Potter też nikogo nie uwodzi, ale jeżeli spotkanie z nim będzie jedyną szansą dotknięcia metafizyki, to*

nie najlepiej. Współczesne bajki stają się groźne dopiero wtedy, gdy w bezsensownym świecie stają się jedynym źródłem sensów (Fronda, nr 27/28, s. 342). Wszystkie zastrzeżenia należy więc poznać i przemyśleć! I na pewno nie należy książki wrywać dzieciom z rąk, bo będzie to bezskuteczne! Więcej: myślę, że starsi mogą przeczytać ją z pożytkiem! Pod warunkiem, że... **książkę razem z dziećmi przeczytają rodzice**, i poważnie porozmawiają ze swoimi pociechami. Tylko nie wiem, czy w tym momencie poprzeczki nie ustawiłem zbyt wysoko. Przynajmniej dla niektórych rodziców... A jednak to oni mają zawsze najwięcej do powiedzenia! I do zrobienia!

Najbardziej intrygujący jest dla mnie dalszy ciąg Harry'ego Pottera, i wcale nie mam na myśli nie wydanych jeszcze tomów. Popatrzmy na cały ten *halas medialny* wokół *Harry'ego Pottera*. Oto okazuje się, że Ewa z klasy II jest szczęśliwą posiadaczką... 3 egzemplarzy pierwszego tomu powieści: jeden został zakupiony, dwa otrzymała w prezencie. Jeden egzemplarz chętnie mi darowuje, i to na nim znajduję napis: *Egzemplarz nie do sprzedaży. Dostępnym w promocji Coca-Coli*. Napis rodzi pytania: czy odkryłem tajemnicę nadzwyczajnej ilości sprzedanych egzemplarzy *Harry'ego Pottera*? Komu też, i dlaczego tak zależy na promocji tej własnej książki?

A promocja to także różnorakie gadzety. Pomińmy zeszyty, kolorowanki, kalendarze i rozkładanki z Harrym w roli głównej.

Są jeszcze gry komputerowe, i publikacje, które dopiero się ukazały. Jaką przyniosą treść?

Harry Potter powraca w roku 2003. Autorka zapowiedziała 7 tomów jego przygód, i na pewno z następnym tomem uwinie się sprawnie i w terminie. Skoro może obiecywać sobie spore zainteresowanie książką i... niemałe pieniądze, i wówczas na nowo powrócimy do dyskusji na temat magii i okultyzmu, i nie tylko.

ks. Bogdan Markowski CM

Mój Tato – **Zbigniew Damasiewicz** – ma olbrzymi dar opowiadania. Często spotyka się ze swoimi kolegami i razem wspominają. Gdy tylko mogę, przysłuchuję się ich rozmowom. Zwłaszcza tym z okresu wojny. Pewnie dlatego, że są przepełnione chęcią życia, wołą walki, wiarą w lepszą przyszłość i patriotyzmem, czyli tym, czego mojemu pokoleniu, niestety, brakuje. Ojciec trafił do obozu w Oświęcimiu z pierwszym transportem. Dwukrotnie był na **bloku śmierci**. Jego wojenne losy są tak skomplikowane i barwne, że trudno je opowiedzieć w kilku zdaniach. Koniec wojny zastał Go w obozie w Niemczech. W czerwku wybrał się Ojcem na doroczny **Zjazd Pierwszego Transportu Więźniów do Oświęcimia**. Podczas obiadu podszedł do nas przyjaciel Taty i powiedział: – *Przy tamtym stoliku siedzi Kazek Piechowski...* I tak, prawie po 60 latach od zakończenia wojny, mój Tato spotkał swojego kolegę, a jednocześnie odnalazł jedynego, żyjącego do dziś, uczestnika wielkiej, udanej ucieczki z Oświęcimia.

Można nas zabić, lecz nie można złamać

Zbigniew Damasiewicz (ZD): Pamiętam bardzo dokładnie – 20 czerwca 1942 roku, dzień był ciepły i słoneczny, sobota. Przed południem przyszedłem do mnie, by zaproszonoć mi udział w ucieczce. Zapytałem Cię – *kiedy?* – Powiedziałeś – *dziś po obiedzie*. Nie mogłem. Obawiałem się o ludzi, którzy zostają w obozie i o przyszłość mojej rodziny.

Kazimierz Piechowski (KP): Nie podałem prawdziwego adresu, wiec byłem spokojny. Uciekali ze mną: Józek Lempart, Staszek Jaster oficer **AK** (zabrał ze sobą materiały dotyczące mordsterw w obozach, przygotowane przez naszą podziemną organizację) i Gienek Bendera, obozowy mechanik samochodowy (dowiedział się, że jest na niego wyrok śmierci).

ZD: Pracowaliśmy wówczas wszyscy w tzw. **HWL**-u, komandzie zajmującym się obsługą magazynów zaopatrujących front wschodni. Magazyny mieściły się na obszarze dużej **Posten Kety**, czyli terenie, po którym wzięniowie mogli poruszać się bez wartownika. Sobota była ciężka. Trzeba było załadować kilkanaście wagonów.

KP: W przerwie na podstawienie kolejnego wagonu odkręciłem śrubę klapy wysypu węgla.

ZD: W soboty pracowało się do godziny 12.00. Na obiad odprowadzano nas do obozu. Potem zajmowaliśmy się pracami porządkowymi na terenie obo-

zu. W tę sobotę widziałem ich ostatni raz.

KP: Po obiedzie zostaliśmy na strychu bloku. Patrzyliśmy, jak komanda wracała do pracy. Gienek zaczął sprawdzać: *Samochód – przygotowany, klucz do warsztatu – też. Józek, czy wleś benzyny do pełna? Tak. Czy śruba jest wyjeta? Tak. Staszek, masz opaskę Varrarbeitera? Tak. Pomyślmy o swoich bliskich...* Miał syna, którego kochał nad życie. Stał się w milczeniu. Józek leżał na podłodze i modlił się. – *No, dobrze – przerwał milczenie – Ruszamy. Uda nam się!* Ucisnęliśmy sobie dłonie. Ja ze Staszkiem i Gienkiem poszliśmy za kuchnię. Gienek pilnie obserwował czy wokół wszystko *grało*. Mieliśmy przygotowany wóz naładowany śmieciami, ciągnięmy go, dołącza Gienek, a ja nasunąłem na przedramię żółtą opaskę. Podjechaliśmy pod bramę. – *Więzi numer 918 i trzech do Lagergebietu – zameldowałem. – Co tam macie?* – zapytał esesman. – *Śmiecie, a z powrotem przywozimy phyty...* Kiwnąłem głową. Przejechaliśmy. Pod stajnią, między obozem a **HWL**-em, zepchnęliśmy wóz. Do warsztatu samochodowego już niedaleko. Gienek otwierał warsztat, a my czekaliśmy. Skinał ręką. Pobiegliśmy. Wskazał palcem **Steyera 220** – czarny kabriolet – *Tym wyjeżdżamy. Kazek, prowadź do magazynu. Uwinicie się szybko i cicho. Ja przyjadę pod rampę samochodem, na znak dany*

przez Kazika... Pobiegliśmy. Przy rampie kolejowej stały puste wagony wyładowane przez więźniów przed południem. Był to szczęśliwy dla nas układ, bowiem zastąpiły bunkier z koksem a przylegały do magazynu, na którym były stalowe klapy wjazdów. Podskoczyłem z Józkiem do wjazdu. Próbowaliśmy otworzyć kłapę. Staszek bacznie obserwował, co działo się wokół. Mimo naszego ogromnego wysiłku kłapa leżała jak przyspawana. Jeszcze raz sprawdziliśmy, czy otwieramy właściwy wjazd: – *Środkowy. Zgadza się!* Dreszcze przeszły mi przez całe ciało. Czyżby ktoś zamknął wjazd!? Widziałem drżące ręce Józka i wiedziałem, że nie damy rady. Podskoczyłem do Staszka – *Pomóż, bo nie dajemy rady*. Szybko znalazł się na bunkrze. Podłożył palce pod kłapę, którą z wolna podnosił. Teraz we trójkę łatwo otworzyliśmy wjazd. Wskoczyliśmy do środka. Bunkier i hall magazynu dzieliły drewniane drzwi. Łomem wyważyliśmy drzwi. Weszliśmy na drugie piętro. Tym samym łomem otworzyliśmy magazyn mundurów i broni.

Józek odłożył cztery granaty. Ja dobrałem broń krótką. Dopasowaliśmy mundury i buty. W tym czasie Józek włamał się do biura głównego i zabrał stamtąd klucze do drzwi wychodzących na rampę samochodową. Ja i Staszek zesliśmy na parter. Staszek niósł broń, a ja granaty i amunicję. Złożyliśmy wszystko w pobliżu drzwi, na rampę. ⇨

Nagle usłyszeliśmy warkot samochodu od strony głównych drzwi wejściowych. Samochód stanął przy tych drzwiach. Staszek spojrział na mnie i odbezpieczył broń. Pomyślałem, że to będzie nasz koniec. Niemcy podeszli pod drzwi, zamienili kilka zdań, potem cisza i samochód odjechał. Pobiegłem na poddasze, otworzyłem okienko i wysunąłem rękę, dając znak Gienkowi. Po minucie usłyszałem warkot silnika. Wyszliśmy na rampę. Gienek wysiadł ze *Steyera*, zdjął czapkę, markując meldowanie swojego przybycia. I pobiegł się przebrać. Wszystkie było w porządku. Ja – *Untersturmführer*, pozostali to szeregowi esesmani. Wrzuciliśmy wszystko do samochodu, ruszyliśmy. Pojechaliśmy ku drodze prowadzącej do dworca kolejowego.

ZD: Jak potem wszyscy podawali sobie z ust do ust, w drodze do bramy przez obóz podobno minęliście przejeżdżającego na koniu komendanta obozu – Aumeiera. Komendant, zasalutował wam?

KP: A my oddaliśmy mu honory... Przy wyjeździe z *Lagergebiets* był posterunek, budka strażnicza. Gienek nieco zwolnił, ten od szlabanu nie ruszał się. Gienek przełożył bieg na dwójkę. Wolniutko podjechaliśmy. Gienek syknął: – *Kazek rób coś!* Otworzyłem drzwiczki samochodu na tyle, by móc wychylić ramię z patką oficerską. Na krzyku wyrzuciłem z siebie: – *Zasnąłeś, do diabła! Podnoś wreszcie ten szlaban!* – esesman podskoczył do korby i uniósł szlaban. Wolno przejechaliśmy, esesmani podnieśli wyciągnięte ręce. Podniosłem i ja, jakby od niechcenia – *Heil Hitler*.

Wreszcie byliśmy za szlabanem. Szybciutko przemknęliśmy przez miasto. Po kilku kilometrach stanęliśmy. Zapytaliśmy starszuka w mundurze kolejowym o drogę do Zatoru, wskazał ręką. Pojechaliśmy. I tu niespodzianka. Na środku drogi stał esesman w mundurze podoficera, w głębi pola pracowali więźniowie. Gienek znów nacisnął gaz i wyminał esesmana. Dalej boczna droga, dotarliśmy do Grójca, minęliśmy Osiek, Gierałtowiec i dalej kierowali-

śmy się na Maków Podhalański. Wreszcie skręciliśmy w las. Leśna, wyboista droga była coraz trudniejsza, potem zamieniła się w płytki potok. Po paru minutach z trudem forsowaliśmy kamieniem dno i... koniec jazdy. Nawalił dyferencjał. Zabraliśmy broń, granaty i w las.

ZD: A w obozie wieczorny apel zamienił się w widowień wielkiej awantury. Więźniowie z głównej *Schreibstuby* nie mogli się zorientować, kto uciekł. Wiedzieli tylko, że w naszym bloku brakuje czterech więźniów. Znano twój numer, Kazek, odszukano go na posterunku przy bramie głównej. Posterunek nie odnotował waszego powrotu do obozu. W ten sposób dowiedziano się, że razem z Tobą wyszło z obozu jeszcze trzech więźniów. Mniej więcej po trzydziestu minutach jeden z esesmanów wpadł na pomysł, żeby sprawdzić, w którym komandzie pracowales, ustalono, że w *HWL*-u. Przyniesiono listę więźniów pracujących w magazynach i rozpoczęto wyczytywanie nazwisk i numerów. Tak esesmani zorientowali się, kto uciekł. Czas, jaki Niemcy zużyli na zidentyfikowanie więźniów, opóźnił pogoń. Gdy już ustalono, kto uciekł i, że znikł samochód, zarządzono posćig. Poderwano na nogi wszystkie okoliczne posterunki. Nie mogło dać to żadnego rezultatu. Nikt nie kontrolował przecież auta z czterema niemieckimi żołnierzami.

KP: A my, na drugi dzień, znaleźliśmy się w *Generalnej Guberni*. Dzień po dniu zagłębialiśmy się dalej i dalej w góry.

ZD: Po ucieczce, następnego dnia, do obozu przywieziono matkę i siostrę Józka Lemparta. Esesmani wystawili je na publiczny widok z powieszonymi na szyjach tabliczkami z napisem: *To czeka krewnych uciekających z obozu*. Myślałem, że są to podstawione osoby z obozu kobiecego – podszedłem do nich i zapytałem o ucieczkę i czy się udało. Powiedziały, że się powiodła. Kobiety nie przeżyły. Nie przeżył również nasz *kapo*, który za ucieczkę ze swojego komanda trafił do bunkra i zmarł śmiercią głodową.

KP: A my mieliśmy kolejny kłopot.

Józek właśnie zachorował, nie był w stanie iść o własnych siłach. Wzięliśmy go między siebie i tak poszliśmy. Staszek wyprzedzał nas znacznie i raz po raz wracał do nas. Po dłuższej chwili, kiedy wrócił, powiedział: – *Tu jest wieś. Może jest i kościół. Może zostawimy tam Józka?* Był kościół i była plebania. Gienek szybko zrelacjonował naszą sytuację, ksiądz zgodził się bez wahania. Uścisnęliśmy Józka, podziękowaliśmy księdzu i w drogę.

Kolejnego poranka Staszek oświadczył, że musimy się rozstać. Wrócił do Warszawy. Wzięliśmy z Gienkem kurs na Lasek, małą wieś w kieleckim, gdzie Gienska znajomi mieli młyn wodny. Właściciele młyna – Słupczyńscy, przyjęli nas. Janusz, ich młodszy syn, dostarczył Gienkowi *kenkartę*. Dotarł do swoich w dalekim Czortkowie na Ukrainie. Mnie przewieziono do Mnina, wsi leżącej w powiecie końskim, do gospodarzy Nowakowskich. Krystyna, ich córka, była w *podziemiu*. Po trzech tygodniach zaprowadziła mnie do *Pieca*. Opowiedziałem mu wszystko. Uścisnął mi dłoń i powiedział: – *Brawo! Pasujesz do nas!* Otrzymałem *kenkartę* na nazwisko Władysław Sikora. Tak znalazłem się w oddziale *Garbatego*.

ZD: Po kilku dniach znaleziono *Steyera* i ściągnięto go do obozu. Szybko dowiedzieliśmy się, że przejechał ponad 200 kilometrów i że więźniów nie złapano. Brawurowa ucieczka wywołała w obozie wielkie poruszenie. Tysiące więźniów podawało sobie z ust do ust jej szczegóły, śmiano się z bezradności esesmanów.

KP: Jak widzisz, przeżyłem wojnę. Staszek Jaster zginął w Warszawie, ale dokumenty dostarczył do *Komendy Głównej AK*. Pozostali także przeżyli wojnę. Dlaczego uciekłem? Chciałem walczyć z Niemcami. Ucieczka była najlepszym na to dowodem. Wiedziałem, że może się zdarzyć wszystko, mogę zginąć, ale Niemcy nie złamią mnie. No i walczyłem...

Opowiadali:
Kazimierz Piechowski
i Zbigniew Damasiewicz
Spisała: Marta Damasiewicz

RECENZJA

Zwycięstwo miłości

Plonem sesji naukowej, która, z inspiracji o. Zdzisława J. Kijasa OFM-Conv, zorganizowana została, dla uczczenia 60 rocznicy męczeńskiej śmierci św. Maksymiliana Marii Kolbego, jest tom zatytułowany *Miłość, która zwyciężyła nienawiść*. Zabrano w nim zaprezentowane w krakowskim klasztorze referaty, a także homilie kard. Franciszka Macharskiego wygłoszoną podczas uroczystości w KL *Auschwitz*. Dzięki temu otrzymaliśmy, kreślony różnorodnymi barwami Jego dokonania, wspaniały portret Męczennika.

W teologii czynu o. Maksymiliana, który dobrowolnie poszedł na śmierć za współwięźnia, wprowadzają rozważania o. Zdzisława J. Kijasa *Jak żyć i zwyciężyć oddając życie?* Artystyczne zaś przedstawienia tego, niejednokrotnie niewytłumaczalnego i niezrozumiałego z ludzkiego punktu widzenia, wydarzenia z sierpnia 1941 omawia w referacie *Na marginesie ikonografii św. Maksymilia-*

na – prof. dr hab. Stanisław Rodziński.

Obszerna część franciszkańskiej sesji poświęcona została też przypomnieniu o. Kolbego – dziennikarza, twórcy wydawnictwa, które w wielomilionowych nakładach, poczynając od lat dwudziestych, publikowało tak miesięczniki (przede wszystkim *Rycerza Niepokalanej*), jak i prasę codzienną (*Mały Dziennik*), a także zamierzało uruchomić ogólnopolską stację radiową oraz telewizyjną.

Wiele informacji na ten temat przynosi artykuł o. Piotra Lenarta OFM-Conv: *Rycerz Niepokalanej w planach św. Maksymiliana Marii Kolbego* oraz refleksja Jana Marii Jackowskiego *Aktualne przesłanie św. Maksymiliana dla katolików świeckich*.

Ogromną wartość poznawczą ma jednak przede wszystkim referat bpa Adama Lepy *Święty Maksymilian M. Kolbe a media*. Przynosi w zwartej formie świadectwo niezwyklej dynamiki dziennikarskiej i publicystycznej pracy oświęcimskiego Świętego, który – jak twierdzi łódzki sufragana – wciąż uczy nas *.../.../*, że w mediach trzeba mówić o wartościach chrześcijańskich i patriotycznych w sposób jasny, prosty, komunikatywny i odważny. Nie wolno też stosować jakiegokolwiek kamuflażu, języka dyplomatycznego czy konspiracyjnego...

Słowa te, z całą pewnością, powinni głęboko wziąć sobie do serca wszyscy zajmujący się w naszym kraju medialnym przekazem. Szczególnie adepci dziennikarskiego zawodu...

– *Ufam* – pisze we wstępie bp Tadeusz Rakoczy – że ta publikacja przyczyni się nie tylko do utrwalenia pamięci o heroicznym czynie miłości św. Maksymiliana Kolbego, ale nade wszystko wzbudzi – zwłaszcza w szeregach ludzi młodych, którzy poszu-

kują, nieraz po omacku, kształtu swego życiowego powołania – żarliwie pragnienie naśladowania tej niezwyklej postaci...

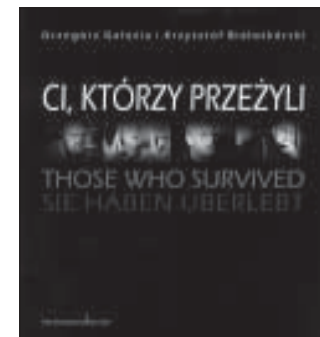
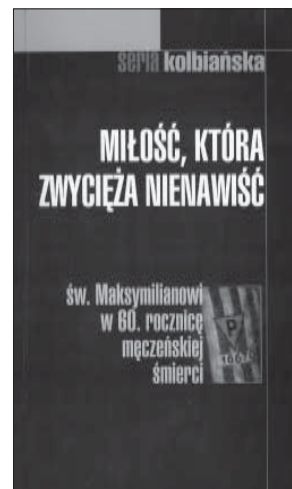
W owym poszukiwaniu prawdy o nieludzkiem czasie epoki pieców i heroizmie tamtego czasu, pomocny być może też wielkiej wartości dokumentalnej album Grzegorza Gałęzii i Krzysztofa Białoskórskiego *Ci, którzy przeżyli*, opublikowany właśnie przez Wydawnictwo *Bellona*. Pięćdziesiąt pięć współczesnych portretów osób, które przeszły przez piekło obozów koncentracyjnych... Wstrząsające fragmenty ich wspomnień... Ludzie różnych kultur, religii, nacji, ras i politycznych przekonań niosący w dzisiejszy, coraz bardziej głuchy na przeszłość świat, kolbiańską nadzieję miłości, która zwycięża nienawiść.

Tak, jak franciszkańska publikacja, i ten wydany w trójjęzycznej wersji językowej (polskiej, angielskiej i niemieckiej) album, z pewnością winny stać się obowiązkową lekturą dla wszystkich pragnących uzupełnić swoją wiedzę o tragiczniejszych dziejach naszego kraju.

Paweł Smogorzewski

Miłość, która zwyciężyła nienawiść. Św. Maksymilianowi w 60 rocznicę męczeńskiej śmierci, redakcja: Zdzisław J. Kijasa OFMConv, Instytut Studiów Franciszkańskich, Kraków 2002.

Ci, którzy przeżyli, przedmowa: Norman Davies. Grzegorz Gałęzia i Krzysztof Białoskórski, Dom Wydawniczy *Bellona*, Warszawa 2002.



REPORTAŻ

(cz. 1)

Porażenie mózgowe dziecięce objawia się bardzo różnie i z różnym nasileniem. Niektórzy mają niedowład jednej ręki, a inni nie są w stanie nic zrobić samodzielnie. Ewa mówi, że miała szczęście – cierpi na spastyczne porażenie nóg i częściowo rąk, z przewagą porażenia lewej strony ciała. Porusza się na wózku, ale może sama jeść, sama się ubrać, umyć... Umysł ma całkowicie sprawny, a zdarza się, że choroba ta upośledza także umysłowo. Poza tym urodziła się w Warszawie – gdyby mieszkała w małym miście czy na wsi, mogłaby podzielić losy setek dzieci, które nigdy nie były rehabilitowane, nie uczyły się. Niektóre z nich są ukrywane przez swoich rodziców w domach, jakby były jakimiś potworami.

Na kółkach z uśmiechem

Magdalena Malinowska-Orfinger

Urodziła się trzynastego czerwca 1968 roku. Razem z nią na świat przysłała jej siostra bliźniaczka, ale przeżyła zaledwie kilkanaście godzin. Ewa była silniejsza. Wkrótce jednak okazało się, że nie rozwija się prawidłowo – nie raczkowała, nie siedziała, nie chodziła. Około drugiego roku życia lekarze rozpoznali u niej mózgowie porażenie dziecięce. Trochę za późno. Najlepsze efekty w rehabilitacji przy tej chorobie odnosi się u niemowląt. Dziś wiele dzieci udaje się w znacznym stopniu usprawnić, nauka samodzielnego funkcjonowania, z czasem nauka chodzenia często dają bardzo pozytywne efekty i można dziecko *wyprowadzić* – jak mówią lekarze i rehabilitanci. Dla Ewy było już za późno, mimo że była i jest rehabilitowana, że przeszła kilka operacji, do końca życia będzie musiała jeździć na wózku inwalidzkim.

Pierwsze rozstania

Po postawieniu diagnozy o chorobie Ewy jej ojciec porzucił rodzinę. Kryśka – jak mówi o swojej mamie Ewa – została sama z dwiema córkami (Ewa ma starszą o kilkanaście lat siostrę Hanię). Takie sytuacje zdarzają się bardzo często. Mężczyźni nie wytrzymują obciążenia, jakim jest niepełnosprawne dziecko. Nie potrafią się z tym pogodzić, więc odchodzą.

Ewa nie pamięta taty. Kiedy odszedł, miała zaledwie dwa lata. Od tamtej pory nie interesował się jej losem, przysłał

jedynie alimenty. Ostatni raz widziała go, gdy miała 15 lat i przyjmowała sakrament Pierwszej Komunii Świętej. Po Mszy św. podszedł do niej jakiś mężczyzna, dał jej kopertę, pocałował, powiedział – *wszystkiego najlepszego* – i szybko się oddalił. Pomyślała, że to jakiś jej wujek, którego nie zna. Potem dowiedziała się, że to był jej ojciec. Ewa prawie nic o nim nie wie. Podobno założył nową rodzinę. Ma syna. Kiedyś zastanawiała się, jakby to było mieć tatę. Pytała się o niego. Dziś już nawet o nim nie myśli. Twierdzi, że nie czuje do ojca żalu, ale nie chciałaby się z nim spotkać. Stał się jej całkowicie obojętny.

Od rozpoznania choroby Ewa została poddana intensywnej rehabilitacji. Jej rodzinie nie było stać na prywatne leczenie, więc wysłano ją do *Ośrodka Rehabilitacyjnego dla Dzieci z Mózgowym Porażeniem Dziecięcym* przy ulicy Ożarowskiej w Warszawie. Przebywała tam od poniedziałku do piątku, na weekendy wracała do domu. Początkowo, za każdym razem, kiedy musiała pozostać w *Ośrodku*, bardzo rozpaczła. Z czasem przyzwyczaiła się. Była tam aż do ukończenia trzeciej klasy szkoły podstawowej.

Stopniowo czyniła postępy – nauczyła się raczkować, siedzieć, potem chodzić w barierkach i przy balkoniku. Zaczęła czuć się pewniej, stała się bardziej samodzielną i niezależną. Odkrywała, że



foto: P. Zyczeński

mimo swojej niepełnosprawności może robić wiele rzeczy, że część swoich ograniczeń może przezwyciężyć.

Z perspektywy czasu przyznaje, że było jej w tym ośrodku bardzo dobrze, choć wówczas – rozłączona z rodziną – czuła zupełnie inaczej, tęskniła za mamą, siostrą i jej synem, młodszym od Ewy zaledwie o sześć lat. Wiele reguł panujących w ośrodku odbierała niczym tortury. Męczyły ją dni wypełnione ciężką pracą – rano kilka godzin ćwiczeń i rehabilitacji, po południu nauka szkolna. Dziś jednak w pamięci zatarły się już te nieprzyjemne wspomnienia i pozostały dobre i z sympatią wspomina tamte czasy. Czuje się związana nie tylko z koleżankami i kolegami z ośrodka, lecz także z pracującymi tam ludźmi.

Kiedy miała pięć lat przeszła operację, która miała poprawić jej sprawność. Niewiele pamięta z tego okresu – była jeszcze bardzo małym dzieckiem – jedynie to, że przez osiem tygodni leżała zupełnie unieruchomiona. Bardzo tęskniła za domem i rodziną. Mama i siostra odwiedzały ją często, ale nawet one nie

potrafiły ożywić przykutego do szpitalnego łóżka dziecka. Dziś uważa, że operacja – nie dość, że nieprzyjemna – przyniosła jej więcej szkód niż zysków. Ale pewnych rzeczy nie da się już odwrócić.

W domu

Po powrocie z Ośrodka przy Ożarowskiej kontynuowała naukę w domu. Bardzo ciepło mówi o paniach nauczycielkach, które do niej przychodziły. Potrafiły wysokie wymagania i nie traktowały *ulgowo*. Brakowało jej jednak kontaktów z rówieśnikami (jej starsza siostra miała już wówczas dwadzieścia lat i własne dziecko). Ewa często marzyła, że chodzi do normalnej szkoły i uczy się z innymi dziećmi.

Dziś istnieją szkoły integracyjne, a wiele niepełnosprawnych dzieci uczęszcza do normalnych szkół. Wtedy tylko nieliczne miały taką szansę. Ewa również przez chwilę ją miała. Pamięta, że była wówczas bardzo szczęśliwa – planowała sobie, jak to będzie, gdy już pójdzie do tej wymarzonej, wyczekanej szkoły; jak będzie się bawiła z innymi dziećmi... Niestety, plan ostatecznie nie powiódł się. Bariery architektoniczne okazały się nie do pokonania. Choć rozumiała, że z powodu zbyt dużej ilości schodów czy zbyt wąskich drzwi nie będzie mogła chodzić do zwykłej szkoły, była straszliwie rozczarowana i rozgorączkana. Tak bardzo pragnęła mieć przyjaciół...

Mama i siostra zawsze okazywały Ewie swą miłość, dawały jej poczucie bezpieczeństwa. Choć bywały trudne chwile w jej rodzinie, zawsze wiedziała, że jest dla nich ważna i prze nie kochana. Mama z siostrą nigdy nie odsuwały jej na bok. Akceptowały ją taką, jaka jest, a to sprawiło, że i ona nauczyła się akceptować siebie. Czasem nawet zapomniała o swojej chorobie, zwłaszcza wtedy, gdy bawiła się ze swoim siostrzeńcem Adamem.

Bywały jednak i takie chwile, kiedy miała pretensje do *calego świata* i czuła się pokrzywdzona przez los. Tak bywało, gdy nie mogła z siostrą i jej synem iść do cyrku, teatru czy do *ZOO*, bo nie było nikogo, kto pomógłby jej tam dotrzeć. Samochodu nie mieli, a transport

miejski był wówczas jeszcze nieprzystosowany dla osób niepełnosprawnych.

Na szczęście, kiedy Adam miał dwięć lat, był już na tyle sprawnym i silnym chłopcem, że zaczął wychodzić z Ewą na spacer. Mieszkali wtedy we wspólnym mieszkaniu przy placu Konstytucji w Warszawie. Chodzili we dwójkę do pobliskiego parku Ujazdowskiego, do Łazienek, a także do sąsiadującego z ich kamienicą kina *Polonia*. Musieli razem dziwnie wyglądać – piętnastoletnia dziewczyna na wózku i pchający ją mały chłopiec.

W tym czasie Ewa często wyjeżdżała do różnych ośrodków rehabilitacyjnych na krótkie, z reguły trzymiesięczne, pobyty. Nie wspomina ich dobrze. Czuła się wyrwana ze swojego środowiska. Często była przemęczona, zniechęcona – codziennie kilka godzin rehabilitacji, potem jeszcze zajęcia szkolne. Nie miała czasu na zabawę, spacer. Nie umiała nawiązać bliższych kontaktów z innymi przebywającymi w ośrodkach dziećmi. Czuła się bardzo samotna. Mama i siostra tłumaczyły jej, jak wielkie znaczenie ma dla niej rehabilitacja, jednakże wtedy ich argumenty nie przemawiały do niej. Była dzieckiem i liczyło się dla niej tylko to, aby jak najszybciej wrócić do domu.

W 1983 roku lekarze podjęli decyzję wykonania następnej operacji, która miała poprawić sprawność Ewy. Niestety, także i ta operacja nie przyniosła spodziewanych rezultatów.

Zawód – introligator

Ewa, w tym samym 1983 roku, rozpoczęła naukę w *Zasadniczej Szkole Zawodowej w Ośrodku Szkolno-Wychowawczym* w Chylicach. Po raz kolejny musiała rozstać się z rodziną. Miała tu, oprócz tego, że kontynuowała rehabilitację, zdobyć zawód. Nikt się jej nie pytał, czy wolałaby może iść do technikum albo liceum. Dla niepełnosprawnej nastolatki nie było takiej możliwości (co prawda było w ośrodku liceum o kierunku zawodowym, ale Ewie nie udało się tam dostać). W tej sytuacji mogła jedynie wybierać między dziewiarstwem, zegarmistrzostwem i introligatorstwem. Bez specjalnego przekonania wybrała

introligatorstwo. Nauka zawodu nie dawała jej w ogóle satysfakcji. Za wykonywane prace otrzymywała zazwyczaj niskie oceny. Jej ręce nie były na tyle sprawne, aby zadana pracę skończyć w wyznaczonym przez nauczyciela czasie. Nie wykonywała jej gorzej, lecz po prostu wolniej. To jednak wystarczało, żeby nauczyciel zawsze stawiał jej niższą ocenę. W konsekwencji zupełnie zniechęciła się do introligatorstwa.

Jednak ten okres życia był dla niej bardzo ważny. Nawiązała wówczas wiele serdecznych przyjaźni, niektóre z nich trwają do dzisiaj. Nauczyła się samodzielnie funkcjonować. Do tej pory mama wyręczała ją w czynnościach dnia codziennego. Ewa mówi, że była mało zaradną dziewczynką. Nie lubiła żadnych czynności, które wymagałyby od niej większego wysiłku. Przyzwyczaiła się, że mama wykonywała za nią wszelkie kłopotliwe zajęcia. Siostra starała się ją mobilizować do działania, ale Ewa nie rozumiała, dlaczego powinna być bardziej samodzielną. Tkwiło w niej przyzwyczajenie do bierności. Wiedziała, że może liczyć na pomoc innych nawet wtedy, kiedy nie było to konieczne.

W Chylicach wszystko się zmieniło. Pod wpływem kontaktu z innymi niepełnosprawnymi zrozumiwała, że samodzielność jest jej potrzebna. Świadomość, że może coś zrobić sama, zaczęła jej dawać poczucie satysfakcji, wiary we własne możliwości. Chciała za wszelką cenę dorównać pod względem zaradności życiowej swoim kolegom i koleżankom.

Dzięki pracy nad sobą poznała swoje dobre i złe strony. Ułatwiło jej to zaakceptowanie swojej niepełnosprawności. Przestała porównywać się z innymi. Jednocześnie zdała sobie sprawę, że miarą człowieka nie jest jego piękno zewnętrzne, sprawność fizyczna oraz umysłowa, lecz jego wnętrze. Przekonała się, że ludzkie ograniczenia i słabości nie są istotne w prawdziwej przyjaźni. Tak naprawdę ważne jest to, co ludzie nawzajem sobie dają. A najbardziej cenę, zdaniem Ewy, są: wrażliwość, tolerancja, umiejętność wysłuchania drugiej osoby. Żeby posiadać takie cechy, nie trzeba być *pełnosprawnym*.

Cdn.

Siostry Wizytki

W przyszłym roku **Zakon Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny**, nazywany popularnie **wizytkami**, obchodzić będzie 350. rocznicę rozpoczęcia swojej działalności na terytorium Polski. Sprowadzone do Rzeczypospolitej w roku 1654 przez małżonkę króla Jana Kazimierza, Ludwikę Marię, siostry osiadły w Warszawie przy Krakowskim Przedmieściu, gdzie do tej pory mieści się dom Zgromadzenia. Trzy inne klasztory wizytek, ufundowane w naszym kraju, znajdują się w Krakowie, w Jaśle i Rybniku.

Modlitwa zawsze jest cudem

Z Siostrą Wizytką rozmawiają: **Paweł Smogorzewski** i **Eugeniusz Zdanowicz**

Przybywając do Polski, wizytki miały już ponadczterdzieciolletnią historię. Założone bowiem zostały w roku 1610 w małym miasteczku Annecy w Sabaudii, gdzie owdowiała baronowa Joanna de Chantal, wraz z trzema towarzyszkami, pod duchowym przewodnictwem św. Franciszka Salezego rozpoczęły zupełnie nową, jak na owe czasy, formę życia zakonnego. W czym tak różna była posługa wizytek?

Różnica między innymi formami życia zakonnego a tą, jaką wówczas propagowały wizytki, polegała przede wszystkim na odmiennym od dotychczasowego modelu pobożności: głęboka religijność nie szła w parze z surową, wyniszczającą ascezą fizyczną, która wymagała żelaznego zdrowia lub to zdrowie wręcz rujnowała. Dziś jest to sprawa oczywista, natomiast czterysta lat temu, dla jednych stanowiła rewolucję, a dla innych zgorzniecie. Wizytki, w swych początkach, były zwane pogardliwie *bractwem zdjęcia z krzyża*. W każdym bądź razie, wówczas takie spojrzenie na życie zakonne było zupełnie awangardowe. Zamysłem św. Franciszka Salezego było założenie skromnej kongregacji, której członkinie cechuje prostota i życie ukryte. Nie miał to być zakon w ścisłym tego słowa znaczeniu. W kongregacji, którą zamierzał powołać św. Franciszek Salezy, członkinie poświęcałyby swoje życie modlitwie, ale również niosłyby pociechę i wsparcie osobom chorym i ubogim. Nie miała to być otwarta działalność charytatywna ile raczej fakt obecności zakonnic wśród ludzi, forma ewangelizacji, rodzaj świadectwa życia. Na początku wieku XVII, zwłaszcza we Francji, taki

sposób realizacji zadań ewangelicznych wydawał się jednak zbyt radykalny i już wkrótce miały wizytki otrzymać swoją obecną regułę.

Czy to dlatego św. Franciszek Salezy, nominalny biskup Genewy (która była wówczas centrum kalwinizmu) miał się wyrazić, iż nie ma pewności, czy może uchodzić za założyciela instytutu zakonnego, na którego ostateczny kształt nie miał już wpływu?

To paradoksalne, ale ponieważ prawdziwie wyznanie, ponieważ Zgromadzenie rozwijało się zgodnie z pierwotnym zamysłem Założyciela do chwili, gdy ufundowany został dla siostr pierwszy klasztor poza Sabaudią. Miało to miejsce w Lyonie. Tamtejszy arcybiskup zdecydował, że cała wspólnota zakonna powinna niejako zmienić swoje ukierunkowanie. Wymógł nałożenie klauzury. Wiązało się to oczywiście z jednoczesnym podniesieniem prestiżu nowego zakonu. Klasztor bowiem uzyskał wyższy status w oparciu o prawo papieskie.

To, co najistotniejsze jednak pozostało: charyzmatyczne wezwanie Zgromadzenia Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny i związany z nim kierunek duchowości – akcentujący skromność, łagodność, prostotę, wielkoduszność i koncentrujący się na takiej teologii cnót, którą można by nazwać humanistyczną. Nasz zakon zapewniał również możliwość służby Bogu osobom, które nie miały aż tak mocnego zdrowia.

Utało się uważać wizytki za zakon arystokratyczny i elitarny...

To jedna z warszawskich legend. Prawdą jest, iż niegdyś nasze członkinie rekrutowały się głównie z wyższych

warstw społeczeństwa. W ciągu pierwszych czterdziestu lat istnienia zakonu na terenie Francji powstało ponad osiemdziesiąt klasztorów. Wizytki trafiły też i do Szwajcarii, Niemiec, frankofońskiej Kanady. O Polsce już mówiliśmy. Ów dynamiczny rozwój, myślę, był warunkowany tym, iż zakon bardzo dobrze przynosił dworskie formy życia na formę życia klasztorowego. Przykładem niech będzie to, że u wizytek zawsze mówiło się o cnotach zakonnych językiem zbliżonym do tego, którym posługiwały się osoby znające etykietę dworską.

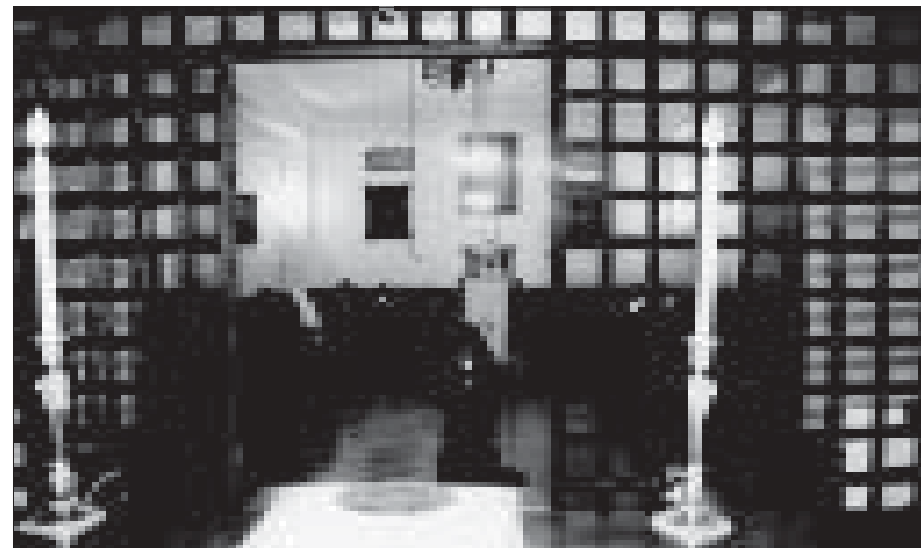
Owa zakonna kurtuazja musiała podobać się św. Franciszkowi Salezemu, który wszak sam uchodził za wcielenie łagodności i wzór dobrych manier?

Franciszek Salezy był mistykiem, duszpasterzem i humanistą, człowiekiem wytwornym, a zarazem bardzo szczerym. Chciałabym zaznaczyć, że na jego sylwetkę duchową miał wpływ ów fakt, iż w młodości przeżył bardzo głęboki kryzys wiary. A było to spowodowane zetknięciem się z teologią Jana Kalwina – zwłaszcza teorią predystynacji, czyli przeznaczenia. Franciszek Salezy nie był tu wyjątkiem. Kalwin przecież rzucił na kolana znaczą część ówczesnej Europy. Doświadczony osobiście tej nadzwyczaj surowej doktryny, która w sposób niezwykle bezwzględny spustoszyła jego umysł i duszę – przyszły święty z wielką żarliwością podjął walkę o przywrócenie na łono Kościoła tych, których uwiódł Kalwin. A przecież tak się złożyło, że Franciszek Salezy został biskupem genewskiej diecezji, której nigdy nie było mu dane objąć, ponieważ Genewa stała się głównym centrum kalwinizmu. ↵

Kościół Sióstr Wizytek przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Na pierwszym planie pomnik Stefana Kardynała Wyszyńskiego – Prymasa Polski



foto: P. Zyczeński



Warszawa. Siostry podczas modlitwy

foto: P. Zyczeński



foto. P. Zyciński

Wnętrze kościoła Sióstr Wizytek w Jaśle



foto. P. Zyciński

Kraków. S. Maria Bernadeta Wysocka (od lewej) i m. Maria Amata Promna z najnowszymi wydaniami dzieł św. Franciszka Salezego

Siostry Wizytki



foto. Archiwum Sióstr Wizytek

Śluby wieczyste



foto. Archiwum Sióstr Wizytek

Profesja wieczysta s. Joanny Marii



foto. Archiwum Sióstr Wizytek

W rozmównicy w dniu profesji wieczystej

Siostry Wizytki

I chociaż podobnie jak jego poprzednik był zmuszony przebywać w małej miejscowości Annecy w Sabaudii, to jednak jego zabiegi kaznodziejskie, a także *rozbudowana działalność publicystyczna*, sprawiły, iż na łono Kościoła powróciła, między innymi, również cała prowincja Chablais.

W centrum charyzmatu Zgromadzenia jest tajemnica Nawiedzenia. Czymże jest ona dla sióstr wizytek?

To ciągle wychodzenie do człowieka. Wiele sióstr, które wstępowały do zakonu, przychodziło, aby modlić się za ludzi, którzy są daleko od religii, którzy nie chcą, albo nie mogą sami iść do Boga. Zważając na zewnętrzne pozory, można sądzić, że nigdy nie będziemy świadkami ich spektakularnego nawrócenia. Siostry jednak starają się wychodzić z modlitwą za niewierzących, za wszystkich zagubionych.

Ta modlitwa w Polsce trwa już od 350 lat!

Celem, jaki przyświecał królowej Marii Ludwice, która sprowadziła wizytki do Warszawy, było otwarcie przyklasztornej szkoły z pensjonatem, w celu kształcenia (wzorem zachodnim) dziewcząt, głównie z rodzin szlacheckich. Chociaż siostry przyjmowały także w swoje progi ubogie dziewczęta, gwarantując im odpowiednie wykształcenie.

Na przestrzeni dwustu lat istnienia zakładu wychowawczego przy warszawskim klasztorze pobrało tu nauki ponad dwa tysiące dziewcząt.

Jako ciekawostkę, która z pewnością zainteresuje nie tylko historyków obyczajów, mogę powiedzieć, iż w oknach naszego klasztoru zachowały się osiemnastowieczne szyby, na których ówczesne wychowanki wydrapywały pobożne inskrypcje, ozdabiając je własnoręcznymi sygnaturami...

Większą liczbą wychowanek mogły poszczycić się wizytki w Wilnie. Niestety, tamtejszy klasztor został zamknięty w roku 1864 w ramach represji carskich po *Powstaniu Styczniowym*. Krótkie wskrzeszenie jego działalności nastąpiło w okresie dwudziestolecia międzywo-

jennego, ale po zajęciu Litwy przez Armię Sowiecką siostry znowu musiały to miasto opuścić.

Więcej szczęścia miał stołeczny klasztor przylegający do wspaniałego barokowego kościoła pw. Opieki św. Józefa?

Klasztor warszawski od 1654 do roku 1864 cechuje nieprzerwana ciągłość istnienia, z dwoma eksmistrzami, które oczywiście mają związek z dramatycznymi dziejami naszej Ojczyzny. Pierwsza eksmistrza miała miejsce tuż po przybyciu sióstr do Polski, w roku 1655, w czasie szwedzkiego *Potopu*, kiedy wraz z całym dworem królewskim schroniły się na Śląsku. Po trzecim rozbiore Polski nałożono na klasztor znaczną kontrybucję; skonfiskowane zostały ziemie, z których Zgromadzenie się utrzymywało, bezpowrotnie przypadły też zrabowane dzieła sztuki.

Siostry prawie na rok, musiały również opuścić klasztor w roku 1807, bowiem zamieniony on wówczas został na lazaret dla wojsk napoleońskich. Ocalał w stanie nienaruszonym dzięki jednemu z francuskich oficerów, który bardzo interesował się zbiorami klasztoru i kościoła i uważał, żeby nic nie dostało się w niepowołane ręce.

Kolejnym bolesnym doświadczeniem w historii Zgromadzenia są oczywiście represje po *Powstaniu Styczniowym*, kiedy siostrom zamknięto nowicjat. Klasztor miał funkcjonować do momentu wyznaczania ostatnich sióstr. Zakaz przyjmowania do nowicjatu trwał przez czterdzieści lat. Owe cztery dziesięciolecia przeżyło siedem sióstr, już bardzo wiotkich. W kronice klasztoru nazwane zostały męczennicami.

Nowicjat został ponownie otwarty po carskim ukazie z początku dwudziestego wieku. Szybko zaczął się zapelniać, a sam klasztor rozwijał się na ile oczywiście pozwalała sytuacja wywołana I wojną światową czy też niestabilny, pod względem politycznym i gospodarczym, czas *Dwudziestolecia*.

Wraz z wybuchem II wojny światowej klasztor, wraz z całą Polską, pogrążył się w okupacyjnej nocy. Żyją jeszcze

siostry, które często opowiadały o tamtych, jakże tragicznych czasach, kiedy było zimno, głodno i kiedy nie było do słowno co do gamka włożyć... Sam klasztorowy budynek największe straty poniósł podczas bombardowań stolicy we wrześniu 1939 roku. Jednak szczęśliwie wyszedł w stanie prawie nienaruszonym z *Powstania Warszawskiego*. Po jego upadku siostry, tak samo jak wszyscy mieszkańcy miasta zostały zmuszone do *exodusu*. Część wyjechała do Krakowa, część do Łowicza, gdzie przycięły je siostry bernardynki. Klasztor został na lasce Bożej Opatrzności...

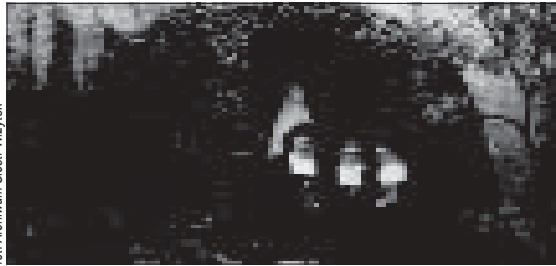
Na wieść, że można wracać do stolicy, od razu wyruszone na Krakowskie Przedmieście. Pierwsze siostry były już w klasztorze 23 stycznia 1945 roku w niespełna tydzień po wkroczeniu do zrujnowanego miasta sowieckich pułków i oddziałów I Armii Ludowego Wojska Polskiego.

Lata powojenne też nie należały do najłatwiejszych...

Komunistyczne władze nie miały zamiaru rozpieszczać Zgromadzenia. Przejawiały z uporem podejmovano, nie mające nic wspólnego z prawem, próby odebrania klasztorowi części gruntów. Szczęśliwie, nie naruszony został nasz stan posiadania. Wciąż żyją siostry, które dobrze pamiętają przesłuchania, jakie prowadzili z nimi w rozmównicy funkcjonariusze *Urzędu Bezpieczeństwa*...

W tych najtrudniejszych chwilach, tak zresztą jak i co dzień, siostrom zawsze towarzyszyła modlitwa. Wizytki to przecież zakon, który szczególną wagę przywiązuje do kulturowania tej formy życia liturgicznego i duchowego. Czy istnieje jakiś sposób na dobrą modlitwę?

Wciąż nie wiem. No, bo czy w ogóle można wyjaśnić życie kontemplacyjne? Ilekroć zgłasza się nowa kandydatka do Zgromadzenia, zawsze zadaje jej pytanie o to, co ją skłoniło do tego, by przyjąć właśnie do zakonu kontemplacyjnego. Sądzę, że odpowiedź zawsze jest częścią. To jest tajemnica między człowiekiem a Bogiem. Jeżeli czuje, że tak właśnie



W ogrodzie klasztornym – s. M. Weronika, m. M. Klaudia, s. M. Sabina



Podczas pracy w bibliotece



Czas na studium własne



Wspólna rekreacja sióstr

Wspólna rekreacja sióstr

Siostry Wizytki

musi postąpić, to dla Niego jest to oczywiste, a sama, myślę, nikogo i tak nie przekona do swej decyzji. Bowiem jest to decyzja bardzo osobista i bardzo radykalna. Powołanie jest przecież dla samego człowieka niewytłumaczalne. Tak samo niewytłumaczalna jest potrzeba modlitwy. Mając wciąż przed oczyma Ojca św. Jana Pawła II, modlącego się podczas ubiegłorocznej pielgrzymki do Polski w wawelskiej Katedrze, można powiedzieć, że modlitwa zawsze jest po prostu cudem. Każde zwrócenie się do Boga jest cudem. I to właśnie buduje Kościół!

Coraz częściej jednak daje się słyszeć głosy, że nie umiemy się modlić tak, jak kiedyś, że właściwie powoli duchowo milkniemy, że nie potrafimy albo nie chcemy otwierać się przed Bogiem i na Boga.

Sądzę, że przeszłość może być w jakiś sposób idealizowana, przez twierdzenia, iż tej modlitwy było więcej, że ta modlitwa była lepsza. To, że dzisiaj modlimy się w inny sposób, wcale nie musi oznaczać, że jest to gorsza modlitwa, a my sami jesteśmy bardziej zlaicyzowani. Tradycja modlitwy jest rzeczą bardzo ważną, dobrze jest mieć bogatą tradycję modlitwy i umieć korzystać z form, które wypracowały, i z których korzystały przeszłe pokolenia. Pamiętajmy jednak, że są ludzie, którzy nie modlą się dlatego, że nikt o to w ich życiu nie dbał, i nie dlatego, że pochodzą z rodzin ateistycznych. Przeciż religijnej otoczenie mogła towarzyszyć obłuda, obojętność na ich problemy i dlatego często skutek usiłowania rodziców wychowania kogoś na dobrego, religijnego człowieka może przybrać postać wypaczonej, czy wręcz groteskowej. Obok modlitwy bowiem bardzo ważne jest świadectwo życia, nasze serce, to serce rozumiane w tradycji biblijnej jako siedlisko najważniejszych uczuć człowieka. Myślę, że dzisiaj najbardziej skuteczną formą modlitwy jest po prostu osobisty przykład, umiejętność i łaska bycia dobrym. To jest to, co Ojciec św. w czasie ubiegłorocznej pielgrzymki nazwał wrażliwością miłosierdzia.

Tak, jak zmienia się czy raczej ewoluuje, przystosowując się do

wywnań nowego czasu nasza religijność, tak też zmieniają się i formy życia zakonnego. Dla siostr wizyttek chwilą przełomową, tak zresztą jak dla całego Kościoła Prawosławnego, były reformy zainicjowane na Soborze Watykańskim II.

W istocie po *Vaticanium Secundum* zmieniło się wiele w życiu zakonu, podobnie jak w całym Kościele. Przede wszystkim zmodyfikowano obowiązujące od ponad trzystu lat konstytucje zakonne. Niektóre obyczaje przeszły do historii, na ich miejsce pojawiły się nowe, bardziej dostosowane i aktualne dla naszej współczesnej mentalności.

Wciąż jednak obowiązują klauzura papieska. Co to oznacza?

Najkrócej mówiąc, jest ona sposobem życia, pewnym charyzmatem powołania kontemplacyjnego. Siostry nie wychodzą, z wyjątkiem bardzo ważnych sytuacji, z klasztoru, zobowiązują się bowiem spędzać w jego murach całe swoje życie – od chwili wstąpienia doń aż po śmierć. Nie wyjeżdżają też do domów, w odwiedzinach do rodzin. Wejście osób postronnych na teren klasztoru jest bardzo ograniczone.

Wiemy, że warszawski klasztor ma jednak, jako jeden z niewielu zakonów klauzuralnych, pewien przywilej. Może gościć na swym terenie osoby świeckie.

Istnieje u nas, w warszawskim klasztorze, możliwość odprawiania rekolekcji dla dziewcząt i pań. W ten sposób pragniemy udostępnić innym kobietom, które szukają chwil wyciszenia, modlitwy – styl życia kontemplacyjnego. Możemy w ten sposób dzielić się tym dobrem, które posiadamy. To jest taka nasza kontemplacyjna forma apostołstwa. Nie są to rekolekcje głoszone. To są dni skupienia. Trwają one przez cały rok – z wyjątkiem *Adwentu* i *Wielkiego Postu*. Osoby zainteresowane taką formą modlitewnej refleksji mogą się z nami skontaktować w zwykłych okresach roku liturgicznego.

Serdecznie dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiali:

Paweł Smogorzewski i Eugeniusz Zdanowicz

Przy bramie klasztornej, przy ulicy Tamka, u siostr szarytek czeka gromadka osób. O jedenastej trzydzieści brama gościnnie się otwiera i potrzebujący zmierzają do stołówki, gdzie czeka na nich gorący posiłek. Zagładam chwilę wcześniej, żeby towarzyszyć s. Annie Świdorskiej w ostatnich pracach. Pachnie grochówką i świeżym chlebem. Stołki już przygotowane dla pierwszej zmiany...

– *W listopadzie 1999 r. oddaliśmy stołówkę bezdomnym* – opowiada s. Anna. – *Codziennie przychodzi tu ponad 60 osób, na gorący posiłek. Nastawiamy się na ubogich z Powiśla, ale przychodzą też z innych części miasta. Nikomu nie odmawiamy, choć czasem zdarza się, że musimy wyprowadzić kogoś, kto jest wyraźnie pijany. Spokojnie i bez awantur. Jak wytrzeźwieje, może znowu przychodzić. Każdy posiłek rozpoczyna się wspólną modlitwą, odmawiamy *Antol Pański*. Przy specjalnych okazjach dłuższą się modlimy. Na przykład ostatnio, kiedy rozdawałyśmy *Cudowny Medalik*, s. Anna Morawska, która prowadzi duchowo naszych podopiecznych, opowiedziała historię *Cudownego Medalika* i nauczyłyśmy ich krótkiej modlitwy do *Najświętszej Marii Panny*. Na święta Bożego Narodzenia szykujemy wspólną Wigilię. Przychodzą przełożeni. Dzielimy się opłatkiem. Posiłek jest także świąteczny. Drugie danie, ciasto i kompot. Potem rozdajemy świąteczne paczki. Zwykle przygotowujemy 70 paczek z owocami, słodyczami i środkami czystości. Teraz, kiedy zaczęły się zimowe chłody, rozdaliśmy naszym bezdomnym 30 koców. Zdarza się też, że dostajemy ciepłą odzież, którą rozdaje najbardziej potrzebującym. Bezdomni bardzo chwalą sobie naszą zupę – dodaje siostra Anna.*

Inicjatywno, bo oprócz zupy u siostr szarytek są często jakieś dodatkowe atrakcje – kanapki ze smalcem własnej roboty lub pieczona w wielkich blachach chrupiąca kaszanka z klasztornej kuchni, bardzo smaczna (zaświadcza, bo miałam okazję spróbować). – *To dla ciała. Dla ducha jest modlitwa, wspólne z siostrami przeżywanie świąt... Od kilku miesięcy s. Anna Morawska próbuje z niektórymi bezdomnymi indywidualnej ka-*

Izabela Sikora

Najsmaczniejszy krupnik w okolicy

techezy. Ma w tej dziedzinie spore doświadczenie, bo od kilku lat pracuje w zakładzie karnym na Służewcu, prowadząc ewangelizację wśród więźniów.

– *Pragnienie, by spotykać się z ubogimi, którzy przychodzili do naszego klasztoru, nurtowało mnie przynajmniej od dwóch lat* – wyznaje s. Anna. – *Kiedy kilka miesięcy temu zrezygnowałam z pracy w szkole, wyszłam z taką propozycją do przełożonych. Szczerze mówiąc, zawsze idę tam z wielkim lękiem, bo jest to praca trudniejsza niż w więzieniu. Dostrzegłam to od razu, przy pierwszym spotkaniu. Jest większe zamknięcie tych ludzi na świat zewnętrzny. Bezdomni myślą o sobie jako o kimś gorszym. Trzeba im pokazać swoją postawę, że tak nie jest. Ubogich przychodzących do naszego klasztoru podzieliłabym na trzy grupy. Jest mała grupka, dla której bezdomność jest sposobem na życie. Przychodzi duża grupa ludzi, którzy finansowo stoją tak kiepsko, że ten posiłek jest dla nich ratunkiem. Spotykam też ludzi młodych, którzy w Warszawie szukają pracy. O pracę jest bardzo trudno – trwają więc bez pieniędzy i dachu nad głową. Wielu z nich szuka zapomnienia w alkoholu. Czasem udaje się skierować kogoś na leczenie odwykowe. Przed każdym takim spotkaniem modlę się w duchu, pytając: *Panie Jezu, z kim chciałbyś, zebym dziś porozmawiała?* W rozmowach z ubogimi staram się pokazać, że nie są sami, bo Pan Bóg ich nie opuszcza, bo ich kocha...*

Idąc ulicą Dobrą wzdłuż brzegu Wisły, dochodzimy do budynku nowej biblioteki uniwersyteckiej. Po lewej, niewielka ulica Wiślana, a przy niej szary dom siostr urszulanek. Ten dom odwiedzał niegdyś Ojciec Święty. Mieszka w nim zaprzyjaźniona z redakcją *Powściągliwość i Pracy*s. Jana Plaska, osoba niezwy-

kle dobrego serca, która, wychodząc do ogrodu, nie raz widziała kolejkę ustawiającą się przy furcie. Opowiadała mi o tym, mówiąc: – *Smutno mi, kiedy widzę tylu głodnych panów czekających przy naszej furcie. Z drugiej strony cieszę się, kiedy widzę, że zostali nakarmieni...*

O pomocy charytatywnej dla ubogich rozmawiam z siostrą przełożoną Natalią Kansy. – *Siostry urszulanki wydają posiłki przy furcie. Codziennie zgłasza się od 35 do 40 osób. W okresie Bożego Narodzenia siostry przygotowują wspólną Wigilię oraz paczki z żywnością dla wszystkich podopiecznych, a ci bardzo chwalą sobie wyroby klasztornej kuchni. Szczególnie placek z kruszonką, który jest podawany przy świątecznych okazjach. Urszulanki mają pod stałą opieką 15 rodzin wieloletnich, które dwa razy w tygodniu otrzymują worek żywności; w tym owoce, kasze, cukier, makaron, puszki mięsne. W okresie świątecznym otrzymują także paczki świąteczne. Wysyłane są też paczki dla więźniów, którzy listownie zwracają się o pomoc. Siostry odwiedzają domy dziecka i więzienia. Zagładają wszędzie, gdzie są potrzebujący.*

Na warszawskim Starym Mieście przed południem pusto, za to na Miodowej przy klasztorze Braci Mniejszych Kapucynów czeka spory tłumek. Przy furcie od strony ulicy Kapucyńskiej, też oczekują. **Brat Wiesław Hajduczenia** na chwilę odrywa się od swoich obowiązków, żeby opowiedzieć mi o kapucyńskiej stołówce. – *Wśród zadań naszego zakonu jest pomoc ubogim przy furcie klasztornej* – mówi b. Wiesław. – *Ten typ służby w naszym*

klasztorze rozwija się od 10 lat. W systemie komunistycznym nie mogliśmy pomagać, bo ogłoszono, że *nie ma ubogich*. Skoro nie ma ubogich, to pomoc nie jest im potrzebna. Jeśli ktoś wydał choćby kilka posiłków uznawano, że prowadzi lokal gastronomiczny i nakładano na niego podatki, które eliminowały wszelką pomoc. W porze obiadowej wydajemy zupę, kawę i chleb. Stołówka jest czynna siedem dni w tygodniu. Także w dni świąteczne. Przygotowywaniem posiłków zajmuje się *Towarzystwo św. o. Pio*. W pracę jest zaangażowanych prawie 80 osób.

Skąd biorą się środki na wyкарmienie? – *W naszej pracy widzimy wyraźną pomoc ojca Pio*. Kiedy wydaje się, że zapasy żywności się kończą, pojawiają się dostawcy. Z okolicy Nowego Miasta dostajemy świeże warzywa, sam odbieram skrawki mięsne i kości z kilku sklepów mięsnych w Warszawie, niektóre piekarnie dostarczają zapasów pieczywa. Są też ofiary pieniężne, czasem zdarzają się większe odpisy. W ostatnich miesiącach szykujemy około 200 porcji, ☺



for. I. Sikora

najwięcej w niedzielę, kiedy inne punkty są nieczynne. Wśród naszych podopiecznych przeważają mężczyźni. Jest duża grupa bezdomnych, byli więźniowie, sporo ludzi ze Wschodu, zagubionych, którzy nie mają środków do życia. Zdarzają się też tacy, którzy mają mieszkania, ale nie mają pieniędzy na żywność. Znam tu jednego staruszka, który nawet ma rentę, ale rodzina mu zabiera, a on się włóczy po dworcu. Inna sytuacja. Rodzina; matka i syn – oboje psychicznie chorzy. Dostają małą rentę, ale i tak nie potrafią zrobić zakupów czy ugotować zupy. Dla nich i dla innych gotujemy codziennie 150 litrów zupy i 90 litrów kawy do tego chleb. W ciągu tygodnia zupy się nie powtarzają. W poniedziałek podajemy zacierkową, we wtorek – barszcz czerwony lub biały, w środę – krupnik, w czwartek – grochową, w piątek – pomidorową, w sobotę – ogórkową, w niedzielę – jarzynową lub fasolową. Jeśli chodzi o przepisy porządkowe, to nie pozwalamy na palenie w kolejkach, nie wydajemy też posiłków osobom, które są wyraźnie po alkoholu. W ten sposób dajemy do zrozumienia: – Jeśli chcesz pomocy, to musisz najpierw pomóc sam sobie.

Zasadniczo jest spokój, nie zdarzają się scysje – ani w stołówce, ani przy furcie. Każdy posiłek rozpoczynamy wspólną modlitwą. Przed Bożym Narodzeniem przygotowujemy kolację wigilijną. Raz w miesiącu urządzamy spotkanie modlitewne. Wyświetlamy wtedy film religijny, głosimy Słowo Boże. Podajemy ciasto, herbatę i kawę. W tym roku zorganizowaliśmy dla naszych podopiecznych dwie pielgrzymki tzw. szlakiem papieskim: Kraków, Kalwaria Zebrzydowska, Jasna Góra. W czasie pielgrzymki utrwalaliśmy nauczanie papieskie i przypominaliśmy postać ojca ubogich, brata Alberta. Pielgrzymując, dużo wspólnie się modlimy, wielu ubogich przygotowuje się do przyjęcia sakramentów. Te spotkania są bardzo owocne duchowo, szkoda tylko, że ze względów finansowych nie możemy pielgrzymować częściej...

Na tym relacja się urwała, brata Wiesława odwołano do stołówki. Czas obiadu. Była środa, wydawano najsmaczniejszy w okolicy krupnik.

Izabela Sikora

Jacek Lilpop

Obalanie stereotypów

Na wystawie w warszawskiej Królikarni można było jakiś czas temu zobaczyć figurkę Matki Boskiej w... akwarium. Innym razem, w Centrum Rzeźby w Orońsku, awangardzista umieścił w tabernakulum swój fizjologiczny ślad. Galeria *Zachęta*, w październiku 2002 r., na wystawie zatytułowanej: *Co widzi trupa wyszklona żrenica* prezentowała film video, który był emisją następujących szybko po sobie zdjęć nagrobego Chrystusa wywołujących wrażenie ruchu. Filmowy obraz, wbrew temu co mówił komentarz do projekcji, nie był ożywieniem przedmiotu, ani nie łączył swojej symulacji śmierci i złudzenia cudownego ożywienia, ale wywoływał w widzu wrażenie jakiegoś groteskowego, konwulsyjnego tańca figury Chrystusa na krzyżu. Co wyrażał ten taniec i jak się miał do ciekawego tematu wystawy, nie mam pojęcia.

Od jakiegoś czasu daje się zauważyć zainteresowanie plastyki symboliką religijną i przedmiotami kultu, zainteresowanie szczególnej natury: nie dotyczy ono wszak wszystkich religii, ani nawet tylko religii monoteistycznych – islamu, buddyzmu czy judaizmu, lecz jest zauważalnie wybiórce – najczęściej a może nawet wyłącznie odważni artyści, przelamując stereotypy i obalając kolejne tabu, skupiają się na plastycznych znakach jednej religii – na chrześcijaństwie.

W czasach, kiedy pochylamy się nad ludźmi niepełnosprawnymi, gdy przedmiotem specjalnej troski i ochroną objęte są wszelkie mniejszości – od etnicznych po seksualne, kiedy nie do pomysłenia jest negatywne do nich nastawienie, nie mówiąc już o drwinie, w odniesieniu do sfery religijnej, ściślej – jednej religii, katolickiej, tolerowana jest postawa odmienna. Tu te reguły nie obowiązują, wręcz przeciwnie – akceptowana jest zabawa symbolami, profanacja,

pozbawiałość dla działań bluźnierczych.

Krzysztof Kłopotowski na łamach *Rzeczypospolitej* (9 – 11 listopada), w artykule o piśmie *New York Times* pisał ostatnio o walce tej gazety z religią i jej poparciem dla działań bluźnierczych. Nie wiem czy zachęta do takich działań promieniuje właśnie z pisma *The New York Times* i z Nowego Jorku, lecz widzę ponawiane wciąż próby obalania stereotypów, a w razie protestu osób, które poczuły się obrażone i dotknięte pomysłami artystów, solidarną obronę tych działań przez *Obróńców Wolności* w imię wolności wypowiedzi, walki z cenzurą i wolności artystycznej w ogóle.

Czy w społeczeństwach uważających się za kulturalne obszary uważane przez jednych za święte, a przez innych za obojętne, powinny podlegać zwyczajowej ochronie? Zawsze wydawało mi się, że tak, że właśnie na tym między innymi polega kultura – na szanowaniu uczuć i wrażliwości bliźnich, na tym, że pewnych granic nie powinno się przekraczać, że należy szanować inne zwyczaje i obyczaje, inne wiary.

Powstaje zatem pytanie, czy wobec odchodzenia od tej zasady i tak agresywnie wyrażanej obojętności wobec uczuć religijnych współobywateli, należy godzić się z tą formą współczesnego barbarzyństwa – nie reagować na prowokacje, przechodzić obok nich w milczeniu, bez wzruszenia ramion, jak chcą jedni, czy wręcz przeciwnie – reagować. Czy symbole religijne, znaki święte i ważne dla wierzących nie powinny być objęte ochroną, tak jak chroni się symbole państwa, godła i flagi narodowe?

W stanie wojennym, na jednej z wystaw w kościele na Żytniej, pewien twórca prezentował prace odnoszące się do symboliki krzyża – przestrzenne kompozycje: plusy i minusy, ale tamte prace Krzysztofa Findzińskiego nie obrażały uczuć osób wierzących, choć odległe były od religijnego zaangażowania i wyrastały z agnostycznej wizji świata. Działo się to jednak w innym czasie i innej przestrzeni, jaką wytworzyła niezależna kultura stanu wojennego znajdująca schronienie w murach kościołów. No, ale teraz jest inaczej, dzisiaj mamy liberalną demokrację. ■

AKTUALNOŚCI NIECO oMSZAŁe

Wraca stare

Oficjalnie podano, że *Przewodniczący Wydziału Zewnętrznych Kontaktów Kościelnych Patriarchatu Moskiewskiego* – metropolita smoleński i kalininogradzki – Cyryl otrzymał pamiątkową odznakę *200 lat Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rosji*. Uznał to za *świadczenie wysokiego poziomu współpracy Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego z Ministerstwem Spraw Zagranicznych Rosji*. Metropolita Cyryl jest uważany za głównego autora, ogłoszonego przed kilkoma miesiącami, stanowiska Cerkwi Rosyjskiej *O katolickim prozelityzmie*. Czytamy w nim, m.in.: *Działalność Rzymu traktowana jest przez prawosławnych jako powrót do eklezjologii wypraw krzyżowych, jako praktyczne wyrzeczenie się spuścizny II Soboru Watykańskiego, a to znaczy także epoki dialogu i współpracy*.

Chciałoby się zapytać: **Kto z kim nie chce rozmawiać?** Jan Paweł II z Aleksym II – czy odwrotnie? Czy to nie *Kirche in not* wspomagało finansowo (nadal wspomaga?) Rosyjski Kościół Prawosławny? Czy to Rzym wydała ze swojego *kanonicznego terytorium* prawosławnych biskupów i kapłanów czy odwrotnie – Moskwa wydała katolickich duchownych? Czy to w kraju katolickim strzela się do cerkwi pozbawionej proboszcza – czy w kraju *prześlągniętej prawosławnej tradycją* jakiś bandyta strzela do kościoła (w Rostowie n. Donem), do którego nie pozwolono wrócić księdzu z Polski? Jeżeli przywoływać widmo *wypraw krzyżowych* – to **kto i przeciw komu** je prowadzi?

W tym kontekście należy umieścić medialną prowokację wymierzoną w moskiewskich franciszkanów: najpierw nakrecono film w agencji towarzyskiej, potem sfilowano klasztor, a następnie wyemitowano program informujący, że zakonnicy prowadzą i jedno, i drugie...

Oczywiście, hierarcha *Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego* odżegnuje się od tych wszystkich faktów. Nasuwa się jednak pytanie: na czym polega ów *wysoki poziom współpracy Cerkwi rosyjskiej z rosyjskim rządem*? I rodzi się bo-

lesne podejrzenie, że w dzisiejszej Rosji – tak jak w Związku Radzieckim – nie ma miejsca dla Kościoła katolickiego, a dostojnicy Kościoła Prawosławnego są sługą na wysokie odznaczenia państwowe.

Polska to jeszcze nie Rosja, ale... PRL wraca. I to w najgorszym, bo unowocześnionym wydaniu. Czytelniku, bądź czujny: *WIELKI BRAT* powrócił i – być może – jesteś w ukrytej kamerze, a już jutro zobaczysz siebie w telewizji. Na przykład: jak czytasz gazetę (ale sąsiedzi będą mieli ubaw!). Podglądania to przecież *misja* telewizji publicznej.

25 listopada 2002 roku, w godzinach wieczornych, I programie *TVP*, mogłeś zobaczyć, jak podglądano o. Rydyka, który... oglądał helikopter – Kupi? Nie kupi? Poleci? Nie poleci? A może powie coś głupiego? A może – co gorsza – planuje zamach bombowy przy użyciu helikoptera? Któż to może powiedzieć... A następnego dnia posłanka Danuta Waniek (w *TVN*, w późnych godzinach wieczornych) oświadczyła, że *intuicyjnie wierzy w prawdomówność Pana Galińskiego* (tak właśnie: jako *Pana*, z partyjną konsekwencją, określała ekszakonnika, który oskarżył publicznie o. Rydyka). To, niestety, potwierdziło moje podejrzenia: *PZPR*, macierzysta partia członków *SLD*, również *intuicyjnie* rozpoznawała i oskarżała swoich wrogów: kulaków, syjonistów, warcholów, spekulantów, szpiegów Watykanu i wszystkich innych.

Czyżby władza, której ostatnio nie udało się zająć do kieszeni obywateli (vide: planowane zeznanie majątkowe), sugerowała, że teraz zajrzy do kuchni i do łóżek? I pokaże to w telewizji?

A o. Rydyk? Tak sobie myślę: na co mu to wszystko? A niechby tylko od czasu do czasu pochwalił plany i *złote myśli* stojące dziś u władzy. Może się mylę, ale sądzę, iż, będąc osobą tak popularną, mógłby – w krótkim czasie – liczyć na stosowne odznaczenie państwowe...

ks. Bogdan Markowski CM

Jerzy Trammer

Nie wojna?!

W latach studenckich dorabiałem jako przewodnik.

Raz przydzielono mi Polaka z Ameryki. Przybył po kilkunastu latach, by ujrzyć stare śmiecie. Z portfela wyjął zdjęcia okolic, skąd pochodził. Było tam widać pokraczne, marme domki charakterystyczne nie dla wsi, i nie dla miast, ale dla biednych przedmieść. Wymienił nazwę tej dzielnicy. Już jadąc tam taksówką, uświadomiłem sobie, że w miejscu domków wybudowano bloki.

Gdy on to zobaczył – zbladł, skurczył się, zasmucił i, niczym marionetka, kiwał, i kiwał ze zrozumieniem głową. – *Cóż* – mówił – *wojna, wojna...*

Potem zaczęli przechodzących ludzi, pytając o znajomych, którzy tu żyli, kiedy i on tu mieszkał.

Znajomych nie odzukał – wszyscy w osiedlu byli nowi.

Zacząłem spełniać swą rolę przewodnika i objaśniłem z dumą, że to nie wojna zniszczyła domki, lecz że zostały one celowo rozebrane, aby zbudować mieszkania z wygodami.

On eksplodował. Zerwana z głowy czapkę cisnął o ziemię. Splunął. Jak wściekłe, małe dziecko tupął i kopał, co się dało.

– *Nie wojna?! – ryczał. – To po co, po co, po co?!*

Potem się uspokoił i nawet wręczył mi jako napiwek nie byle co w tych czasach – banknot dwudolarowy. Uczył też w moim myśleniu wyłom, który po latach sprawił, że zrozumiałem, że szybkie zmiany – chociaż są budowaniem – niszczą subtelne ludzkie związki, uczucia, tradycje, powiązania jak jakieś wojny, które są przecież rujnowaniem. ■

Siostra Nulla, franciszkana Służebnica Krzyża, tkwi uporczywie w swej, zamiennej dla siebie i swojego Zgromadzenia, skromności aż do dzisiaj. Nie napotkamy informacji o niej i o jej wierszach w żadnym z dostępnych nam obecnie literackich leksykonów czy słowników. Wzmiankę poświęca jej Karol Górski w swych dziejach polskiej duchowości. Garść wiadomości przynoszą wspomnieniowe szkice o środowisku Lasek. Nie szukała i nie zaznała sławy za życia. Nie przypadkiem przyjęła przecież zakonne imię Nulla, czyli – po łacinie – nikt. Czy nie powinniśmy uszanować jej prawa do samotności i ciszy wobec Boga, czy nie powinniśmy pozostawić jej osobie i jej poezję, jej samej i Bogu na wieki.

Nieobecność siostry Nulli

Przyszła siostra Nulla, a zrazu Lucyna Westwalewiczówna (1911 – 1945), pochodziła z jednej z (tak charakterystycznych dla tego okresu) przedwojennych rodzin inteligentnych. Urodziła się w Warszawie, później przebywała w Krakowie, Zakopanem, lecz miejsca, które miały wpłynąć na nią najbardziej: to Wilno i jego środowisko akademickie, a później podwarszawskie Łaski, związane z nimi kółko ojca Kornilowicza i Zgromadzenie sióstr franciszkanek *Służebnic Krzyża*, do którego miała wstąpić.

Akademickie Wilno lat międzywojennych to źródło prawdziwego fermentu duchowego i intelektualnego. Tutaj, w latach trzydziestych, studiuje Miłosz, wykładają – Zdzichowski i Koneczny, w miejscowej prasie pisują bracia Mackiewicz. Pojawia się cała gama różnorodnych nurtów intelektualnych, a między nimi inteligencki katolicyzm, związany z odnową tomizmu i liturgii, zainteresowanie mistyką, francuską powieścią religijną, próbami katolickich zaangażowań społecznych. To właśnie w środowisku katolickiej młodzieży akademickiej (opiekowali się nią, m.in. ks. Chlebowicz, i ks. Falkowski, późniejszy autor wspomnień o siostrze Nulli) dojrzewa duchowo studiująca tutaj romanistykę Lucyna.

Dwa wydarzenia przesądzają o późniejszych losach Lucyny. Pierwsze to wielkie wrażenia, jakie wywołują w niej zamknięte rekolekcje księdza Chlebowicza, drugie to rozwijająca

się od 1933 r. gruźlica. Cóż może zrobić młoda, inteligentna kobieta, która dowiaduje się pewnego dnia, iż cierpi na ciężką, nieuleczalną chorobę, która, prędzej czy później, musi się skończyć śmiercią w wieku dalekim jeszcze od starości?

Reakcje mogą być na pewno różne. Niektóre z dotkniętych chorobą udawałyby, że *nie się nie dzieje*. Uczyłyby się, bawiły, mimo wiszącego fatum, nierealistycznie myślałyby o założeniu rodziny lub zawodowej karierze. Inne popadłyby w szal leczenia, szukałyby nowych lekarzy, medykamentów, czekałyby na pojawienie się leku-cudu. Jeszcze inne popadałyby w depresję, melancholię, rozpacz, zalałyby się, myślałyby, a czasami wręcz popełniały samobójstwo.

Choć zapewne, żadne z tych rozwiązań i doświadczeń nie było obce przyszej siostrze Nulli, to jednak ostatecznie nie wybrała żadnej z nich. Poszła drogą własną, i zapewne najbardziej wartościową. Pozostała częścią swojego krótkiego życia postanowiła dać świadectwo, takie jakie właśnie potrafi dać tylko osoba dotknięta w ten, a nie inny sposób.

Szukanie Boga i dążenie do zjednoczenia z nim, a zarazem usunięcie w cień własnego *ja* były treścią tego niepowtarzalnego świadectwa. Zaprzeczyc egotyzmowi, kultowi *ja* i własnej kariery, osobistego sukcesu własnej epoki i własnego środowiska – to było prawdziwe wyzwanie, swoisty skandal o wiele bardziej radykalny od charaktery-



stycznych dla tego czasu obyczajowych skandalików Boya. Zgromadzenie sióstr franciszkanek, a także kółko ojca Kornilowicza okazały się właściwym miejscem dla realizacji tego świadectwa.

Decyzja taka, jak siostry Nulli, nie powstaje nigdy w próżni, w pustce. Z reguły ktoś jest jej inspiracją, ktoś do niej przybliża, prowokuje, zachęca. Tak było i w tym przypadku. Pierwszym spotkaniem, które, jak się później okazało, przesądziło o takiej, a nie innej późniejszej drodze Lucyny, była przyjaźń z Nullą Muttówną, chorą na gruźlicę studentką sztuk pięknych wileńskiego uniwersytetu. To także na jej cześć przyjęła siostra Nulla, przypominające jej imię, własne imię zakonne. Postawa przyjaciółki wobec choroby, jej żarliwa pasja religijna nieodwracalnie wpłynęły na sposób myślenia i życia Lucyny. Na nekrologu Nulli napisano, iż *przez cztery lata radosnym cierpieniem służyła swemu Panu*. A Lucyna potraktowała to świadectwo z pełną powagą.

Kolejne spotkanie miało już bezpośredni związek ze środowiskiem Lasek. Lucyna przeczytała pamiętnik wspomnianej powyżej siostry Katarzyny Sokolowskiej (1896 – 1924), utalentowanej młodej rzeźbiarki, która wstąpiła do Zgromadzenia franciszkanek Służebniczek Krzyża.

Wstrząsająca jest ta trójka młodych, zdolnych i nieuleczalnie chorych kobiet

(z których tylko siostrze Nulli udało się przekroczyć trzydziestkę), przemieniających swe cierpienie w pasję poszukiwania i zjednoczenia z Absolutem. Nulla i Katarzyna Sokolowska zaprowadziły Lucynę do Lasek i Zgromadzenia franciszkanek Służebniczek Krzyża. Lucyna staje się siostrą Nullą.

Dziewięć ostatnich lat życia siostry Nulli to okres rozwoju duchowego, ale także okres rozwoju choroby, i od 1939 r. okres wojny, w której traci ojca, brata i innych bliskich sobie ludzi. W czasie wojny rodzi się siostra Nulla – poetka. Początki były niepozorne. Siostra Nulla w 1943 r. przetłumaczyła wierszem *Stabat Mater*. Jej poezja jest więc wyrazem dwóch ostatnich lat jej życia. Jest wyjściem naprzeciw śmierci.

Jej wiersze są ściśle związana z rozejm jej modlitwy. Powstawały jako jej wyraz lub wręcz ich pisanie było poezją (już w XIX wieku oratorianin Alphonse Gratry zalecał modlitwę pisemną). Nie były pisane do publikacji. Zapoznawała z ich treścią tylko osoby sobie bliskie, w tym ojca Kornilowicza. Nawet scenaria ich powstawania bywała niezwykła. Niekiedy pod wpływem natchnienia pisała w całkowitej ciemności, podczas przerw w dostawie światła.

Jej poezja jest czymś osobliwym, jedynym w swoim rodzaju. Pełna religijnej pokory w treści, jest jakby drapieżna, nieokreślona w formie. W jednym z swych wierszy pisze o sobie: *Nie lubię rymów okrągłych i gładkich./ tak potocznych jak górskie kamyki./ miłszy jest uchu memu lada jaki/ dźwięk asonansów niesformnych i dzikich...* I nie jest to tylko deklaracja, poprzez asonanse formy wznosi się poetka do konsonansów religijnej treści.

Utworzy siostry Nulli można podzielić na dwie grupy. Pierwsza grupa kieruje się bezpośrednio do Boga. Ich swoista metoda jest niejako otaczanie symboli, tematów religijnych obrazami ze sfery codzienności. Nabożeństwo majowe otacza więc rozkwitająca majowa przyroda. Msza św. skojarzona jest z ogniskiem, a Ewangelia z zaorany polem. Druga grupa, przeciwnie w temacie powszednim lub hi-

storycznym, szuka religijnej głębi. Kruchość rozkwitłego kwiatu wiśni nasuwa przecucie śmierci i spotkania z Bogiem, a wojenna, powstańcza Warszawa kieruje prosto ku Kalwarii. Wiersze wyrażające wojenną rzeczywistość są do dzisiaj niezwykle przejmujące, odważne, poruszające także tematy drażliwe: *Przebac o Panie, barwionym paznokciom!* – modli się siostra Nulla – *Czerwonym rżesom, malowanym ustom/ Kobietom-lalkom z porcelany pustym!./ – Mężów zdradzonych Ty w Offlagach pociesz!*

Przy pierwszej lekturze wiersze siostry Nulli wydają się czymś błahym, niepozornym. Przy dokładniejszym wczytywaniu się wchodzimy w końcu na ścieżki jej poezji. I tu czeka nas niespodzianka, nie są to ścieżki w żaden sposób banalne, pospolite: *Wolę od mostów wygodnych, bezpiecznych/ kładkę wąziutką rzuconą nad strumień/ I Kocham górskie zawrotne przełęcze./ gdzie oddech thumi wzruszenie i duma...* – i tym wzruszeniem, i dumą mamy szansę w trakcie lektury tej poezji odetchnąć.

Jaki sens może mieć dla nas, poza tym ściśle artystycznym, osoba i poezja siostry Nulli? Założycielka Zgromadzenia franciszkanek, Służebniczek Krzyża, matka Róża Czacka, która za przedmiot swojej troski uznała opiekę nad osobami niewidomymi (sama zresztą była osobą niewidomą), przyznawała osobom niewidomym specjalny charyzmat, który podjąć mogą tylko właśnie tego typu osoby.

Wedle Czackiej, osoby niewidome nie są tylko ciężarem dla otoczenia i osób sprawujących nad nimi opiekę i pieczę. Nie powinno się ich traktować tylko i wyłącznie jako nie w pełni sprawnych, którymi w imię miłosierdzia i humanitaryzmu się opiekujemy. Czacka twierdzi, iż niewidomi mogą wzbogacać swoje środowiska dzięki właśnie swojej ułomności, którą w duchowym kontekście można potraktować nawet jako dar. Pisze, iż *niewidomi niosący z poddaniem się woli bożej krzyż swego kalectwa, swoim przykładem i świętością życia powinni być apostołami nawet wśród widzących, ślepych duchowo,*

nie znających Boga i dalekich od niego na skutek choroby.

Intuicję matki Czackiej, myślę że zgodnie z jej intencjami, można rozciągnąć za wszystko, co świat normalny uznaje za ułomność, w sensie fizycznym czy nawet psychicznym lub społecznym. Życie siostry Nulli i jej poezja mieszczą się w pełni, w głoszonej przez matkę Czacką obrazie sensu ludzkiego cierpienia. Jednym z momentów zwrotnych w życiu siostry Nulli była bowiem nieuleczalna wówczas choroba, gruźlica. Życie i pozostałe po siostrze Nulli wiersze są godne poznania i zapamiętania. Są przejmującym spotkaniem człowieka z cierpieniem i chorobą. Są wyrazem tego, czego nam dzisiaj niezwykle brakuje, przekonania głoszącego, że nie ma ludzi i okresów w ich życiu niepotrzebnych. Z wyższej, duchowej perspektywy wszyscy i wszystko, nawet okres choroby, wręcz czekania na śmierć, dają szansę pozostawienia jedynego w swoim rodzaju duchowego świadectwa. Tą prawdą promieniają rymy siostry Nulli.

Twórczość siostry Nulli spowija jeszcze jeden, oprócz jej życiowego charyzmatu choroby, charyzmat, który nazwać by można charyzmatem nieobecności. Można by się zastanawiać nad swoistym tragizmem zapomnienia zarówno człowieka, jak i jego dzieł. Idąc jednak za intuicją matki Czackiej można by powiedzieć, iż zapomnienie zarówno dzieła, jak i człowieka przydają jednemu i drugiemu osobliwego blasku, który w chwili ponownego ich odkrycia, nadaje im niespotykaną moc duchowego oddziaływania. Czyż nie na tym polegała sprawa Norwida, jego zapomnienia i odkrycia. *Syn minie pismo, lecz ty wspomnisz wnuku* – pisał Norwid. Czy pokolenie wnuków pokolenia siostry Nulli odkryje ją samą i jej poezję? W każdym razie apeluję do wydawców o wznowienie jej poezji! Niech siostra franciszkanka zastanowi się, czy już nie czas na opublikowanie pamiętnika siostry Nulli! Dajmy szansę wnukom!

Grzegorz Pyszczyk

Stanisław Michalkiewicz

Szare jest piękne!

Dawno, dawno temu, kiedy w Polsce dopiero zaczynała się transformacja ustrojowa i wiele rzeczy ludzie przyjmowali jeszcze z ufnością i dosłownie, Janusz Korwin-Mikke na jednym z publicznych spotkań pytał: dlaczego w realnym socjalizmie gospodarka jako tako działała? Działała dlatego – twierdził, że miliony ludzi z narażeniem własnej wolności, a czasami nawet życia, oszukiwało, kradło, zatajało, konspirowało i tak dalej. Gdyby bowiem wszyscy skrupulatnie przestrzegali obowiązujących przepisów, a więc postępowali zgodnie z pragmatyką przyjętą podczas strajku włoskiego, to wszelka działalność gospodarza musiałaby natychmiast ustać. Jest to bardzo prawdopodobne, już choćby ze względu na samą liczbę obowiązujących przepisów: w budownictwie na przykład obowiązywało za PRL-u 50 tysięcy aktów prawnych różnej rangi, a więc ilość oczywiście przekraczająca możliwości percepcyjne umysłu ludzkiego. Ponieważ, zgodnie z odkryciem Gary'ego Stanleya Beckera, ludzie zachowują się tak, jakby kalkulowali, nikt nie zadawał sobie trudu, by te wszystkie przepisy poznawać. Jednak one istniały naprawdę i w razie czego prokurator, milicjant, inspektor nadzoru, czy sąd mógłby się na któryś z nich powołać, żeby zgubić swoją ofiarę. Rozsądek nakazywał zatem utrzymywanie znacznej części aktywności gospodarczej w konspiracji i w ten oto sposób powstawała szara strefa w socjalizmie realnym. Nawiąsem mówiąc, ludzie bogaci w doświadczenia z epoki socjalizmu realnego trochę wnoszą spoglądali na transformację ustrojową, niż pozbawieni doświadczeń z szarej strefy entuzjastycznie ze sfer intelektualnych

i półinteligentnych.

Pamiętam, jak pewna pani, gdzieś w 1992 roku, powiedziała mi, że według niej komunizm w Polsce wcale jeszcze się nie skończył i trwa sobie w najlepsze. Zapytałem ją, co by ją przekonało, że rzeczywiście zmienił się w Polsce ustrój. Odpowiedziała mi, że dla niej komunizm skończy się dopiero wtedy, kiedy będzie mogła zlikwidować lewy magazyn, tzn. magazyn zakonspirowany przed urzędem skarbowym i wszelkimi policjami jawnymi, tajnymi i dwupłciowymi.

Mimo postępów transformacji ustrojowej ostroże szacunki ekonomistów oceniały szarą strefę na około jedną trzecią całej gospodarki. Wyciągałem z tego wniosek, że moja rozmówczyni z roku 1992 nadal utrzymuje lewy magazyn, a może nawet uruchomiła jeszcze jeden. Trudno zresztą dziwić się zarówno jej, jak i innym cichym bohaterom szarej strefy. To są prawdziwi kapitanowie naszego przemysłu, rolnictwa i handlu. To dzięki nim, dzięki ich determinacji i poświęceniu, dzięki ich ryzyku, dociera do nas codziennie prąd elektryczny, gaz, benzyna i olej napędowy, mąka, mięso i tłuszcze, owoce, warzywa i kwiaty. Im zawdzięczamy, że budowane są domy, że kręcą się koła, że dymią kominy, a robotnicy mają pracę. W odróżnieniu bowiem od większości polityków i innych przywódców narodu, ludzie ci potrafią doskonale odróżnić ziarno od plew, konieczność od kaprysu i poświęcenie od bezsensownego cierpiętnictwa.

Używam tak ostрых sformułowań, bo właśnie *Główny Urząd Statystyczny* przedstawił hipotezę wyjaśniającą paradoks, który nie miał prawa się zdarzyć, a przecież się zdarzył. Nie miała

mianowicie prawa wzrosnąć konsumpcja, bo procesy gospodarcze, ujmowane w oficjalnych statystykach, nie stwarzały ku temu żadnej, to znaczy jakiegokolwiek możliwości. Mimo to jednak jesienią 2002 roku zaznaczył się w Polsce, niewielki co prawda, niemniej jednak wzrost konsumpcji. Jedynym wyjaśnieniem tego fenomenu było to, że ten wzrost jest efektem procesów gospodarczych przebiegających w szarej strefie, więc z natury rzeczy wymykających się oficjalnym statystykom. Nie trzeba dodawać, że gdyby się tym statystykom, a więc i ingerencji okupacyjnej władzy nie wymykały, to pewnie by w ogóle nie nastąpiły, podobnie jak nie nastąpiłyby i wzrost konsumpcji. Przypomina to sytuację w Generalnym Gubernatorstwie w okresie okupacji hitlerowskiej. Niemcy wprowadzili kartki żywnościowe i ścisłą reglamentację towarów rynkowych. A przecież, jak z dumą powiedział mi pewien stary chłop z Zamojszczyzny, *kto był na wolności, ten nie umarł z głodu*. Nieznani bohaterowie podziemia gospodarczego potrafili zaopatrzyć swoich braci w miastach w rąbanke, masło i inne produkty, a miarą wielkości ryzyka i bohaterstwa tych działaczy gospodarczych niech będzie fakt, że za zabicie świni groziła w GG kara śmierci tak samo, jak za ukrywanie Żyda.

Zarówno bohaterowie tamtego czasu, jak i bohaterowie współcześni nie pragną rozgłosu, zadowolając się poczuciem osobistej satysfakcji i jej materialnymi wyrazami. Zdają sobie jednak sprawę, że w społeczeństwie katolickim taka sytuacja powinna rodzić pewne problemy duszpasterskie, choćby na tle zakresu obowiązków wobec *Cesarza*. Nie przypominam sobie jednak jakiejś poważniejszej dyskusji na ten temat. Widocznie wystarcza nam świadomość, że dzięki szarej strefie poziom konsumpcji mimo wszystko da się utrzymać, a może nawet podnieść, a gdyby nawet jakiś wyjątkowy skrupulat odczuwał konflikty sumienia, to mamy bogate doświadczenie kojenia tych rozterek wódka. ■

OKIEM ŻUKA

Szyderstwo czy cynizm?

Kilkanaście czy kilkadziesiąt tysięcy osób traci pracę, bo *coś sprywatyzowano* – to znaczy sprzedano fabrykę, zakład, nie troszcząc się o ludzi. Wyrażono tym samym zgodę na zwiększenie bezrobocia.

Jednak zjawia się przedstawiciel państwa, który – *przejęty rozpaczlivą sytuacją ludzi zdeterminowanych* tak dalece, że byłoby gotowy pięściami i kamieniami walczyć o swój zakład – oferuje im plan pomocy. Plan polega na tym, że jeśli właściciel się zgodzi, to państwo od niego wykupi grunt, po czym poszuka inwestora, który chciałby w pomieszczeniach fabryki kabli założyć tartak, fabrykę szklowniczą, wytwórnię szybowców, wytwórnię konserw warzywnych, fabrykę broni czy w ogóle *coś*. Oby tylko znalazł się amator i zechciał zatrudnić tych ludzi, teraz np. w zakładach optycznych. Niby to nie jest zły plan, tylko że przypomina sytuację, w której: tonie statek na pełnym morzu, a w nim załoga, pasażerowie – kobiety, dzieci i starcy. Tymczasem kapitan odpływa motorówką i woła do tonących: – *Myslimy o was! Wprawdzie nie zabraliśmy kół ratunkowych i kamizelek, ale ja płynę do wytwórni! Załadujemy tam koła ratunkowe na łodzie, dokupimy motory i ogłosimy werbunek obsady łodzi ratunkowych! Czekaćcie cierpliwie! Przypłyniemy i wyciągniemy wszystkich! Trzymajcie się! Ahoj! I tak macie szczęście, bo tu nie ma rekinów...*

Tak, mniej więcej, wygląda sprawa i z tą naszą *prywatyzacją*, bo plany ratunku są kpiną w żywe oczy. Bo ci ludzie potrzebują *doraźnej pomocy*. I to już! Bo umrą z głodu. Szczęście w tym

wypadku, że chociaż mają mieszkania. Mogą jednak je stracić, bo *glodujący* nie będą już w stanie płacić czynszu. Wtedy wyrzucą ich, jeśli nie na bruk, to do jakiegoś baru z zamarzającą wodą w studni lub wodociągu.

Czy jest taka gmina czy powiat, w których nie ma nic do zrobienia? Nawet w zimie?!... Natychmiast powinno się ogłosić roboty publiczne dla zwolnionych. A ci powinni przystąpić do pracy w ciągu tygodnia czy dziesięciu dni (potrzebnych na *zorganizowanie* tej pracy). Niechby zarabiali jedną czwartą tego, co poprzednio albo nawet płacę minimalną. Niechby źródłem ich wyżynienia była stołówka pracowni czy-rodzinna.

To byłaby ta, *aktualna i rozsądna*, kamizelka ratunkowa, w której żywi (i daj Boże zdrowi) doczekaliby lepszego czasu, gdy – powiedzmy – znajdzie

się jakiś inwestor i państwo kupi grunty, a nowo powstały zakład ceramiki budowlanej zaproponuje im lepszą pracę od tej, która tylko ratowała ich od głodu.

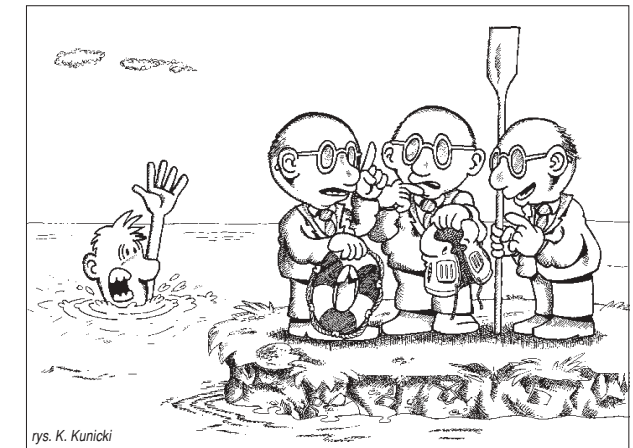
To byłaby pomoc rządu w porozumieniu z samorządem. Ich praca wytwarzałaby pieniądze pokrywające wyżywienie i minimalnie zaspokajałaby ich potrzeby. Wtedy byłaby to jakaś pomoc *rzeczywista*. Żadna rekompensata. Żadne zadośćuczynienie. Po prostu byłby to taki *GOPR* czy *Pogotowie Ratunkowe*, które nie dałoby im umrzeć, ani doprowadzonym do rozpacz bić się z własną policją, wypelniając swe obowiązki wobec uchwalonego przez parlament prawa.

Co można powiedzieć o ministrze, który na widok tonącego nie ściąga marynarki i nie skacze do wody, by go wyciągnąć, a jedynie instruuje tonącego, jakie ruchy ma wykonywać, by utrzymał się na wodzie?

A przecież rząd jest tym, który wobec takiej opresji powinien pierwszy zdjąć marynarkę, bo jemu została powierzona piecza nad całym narodem.

Mówi się yakże o pożyczkach, dzięki którym można by założyć własny interes. Jest to wędka, ale z takim haczykiem ryzyka, że zawisną na niej może sam pożyczkobiorca. Faj!

Żuk



Stefan Niesiołowski

Ożarów

Protest pracowników **Ożarowskiej Fabryki Kabli** odbywa się pod hasłem obrony miejsc pracy, a więc walki o utrzymanie rodzin, godność, o szanse dla dzieci oraz przeciwko degradacji jaką przynosi bezrobocie. Wysokie (18%) bezrobocie czyni tę walkę wyjątkowo desperacką. Wypowiedzi protestujących cechuje rozpacz, nieustępliwość, świadomość osaczenia i brak nadziei. Z drugiej strony właściciel koncernu **Tele-Fonika**, który kupił ożarówską fabrykę, nie może sprzedać wyprodukowanych w Ożarowie kabli, więc zamknął zakład. Zmuszenie siłą właściciela, by produkował towar, którego nikt nie chce kupić jest absurdem. Jak każda załoga bankrutującego, zamykanego zakładu, także pracownicy **Ożarowa** liczą na *gwarancje* państwa czyli na dopłacania z budżetu a więc przez nas wszystkich do ich fabryki. Tego samego w gruncie rzeczy domagali się stoczniowcy i górnicy, do tego w znacznym stopniu sprowadzają się, dość z resztą skutecznie realizowane, żądania rolników. I mimo bardzo poważnych argumentów o wyjątkowo trudnej sytuacji i konieczności tak rozumianych *gwarancji*, dopłacanie do upadających zakładów z budżetu państwa, czyli podtrzymywanie ich wbrew rachunkowi ekonomicznemu, jest drogą prowadzącą do katastrofy gospodarczej w skali kraju. Utrzymywanie niepotrzebnych miejsc pracy z powodów pozaekonomicznych skutkuje inflacją, brakiem towarów, zacofaniem i nędzą. Było też jednym z powodów niewydolności gospodarki socjalistycznej i upadku Polski Ludowej.

Nie po to odzyskałyśmy wolność i niepodległość, by wracać do niewydolnego systemu. Dlatego też tą drogą, w moim przekonaniu, nie pójdzie żaden rząd III RP, a jeśli pójdzie, to z wielką szkodą dla Polski i szybko też

zostanie obalony. Przykładów, do czego prowadzi populizm u władzy, dostarcza Ameryka Łacińska, ostatnio zwłaszcza Argentyna i Wenezuela. Jak zwykle w tego rodzaju konfliktach swoje usiłowali ugrać populistyczni politycy, którzy zagrzewali do walki, nieustępliwość, deklarowali poparcie i obiecywali pomoc. Niczego nie załatwili i w końcu odjechali swoimi samochodami do Warszawy. Jak zwykle, w przypadku obietnic i zapewnień populistów, były to obietnice bez pokrycia, warte tyle, ile buńczuczne deklaracje niektórych liderów protestu, że tylko nieustępliwa, twarda blokada fabryki i odrzucenie wszelkich kompromisów zapewni sukces, rozumiany jako uruchomienie produkcji kabli w Ożarowie.

Ale bardziej niż aktywność polityków sytuację pogorszył brak jakiegokolwiek aktywności ze strony rządu Leszka Millera. Rząd **SLD – PSL** najpierw zgodził się na prywatyzację **Tele-Foniki**, na co nie zgadzał się rząd Jerzego Buzka (słusznie obawiając się negatywnych skutków powstałego w ten sposób monopolu), a następnie beczynn timer przyglądał się trwającemu prawie rok blokowaniu fabryki. Po raz kolejny okazuje się, że w III RP dopiero głośny protest wywołuje zainteresowanie władz. Oczywiście zachęca to wszystkich znajdujących się w trudnej sytuacji, uważających, że wobec innych spokojnych form wyrażania niezadowolonych rząd nie działa. Nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć, jeśli skala zwolnień będzie większa? Jednak w przeciwieństwie do protestów w PRL, pomijając decydujący kontekst polityczny, protestujący mają wykluczające się wzajemnie interesy. Wiodące to było także w Ożarowie. Mimo wezwań przyjechało tam bardzo niewiele wspierających ten protest z zewnątrz.

Ponadto, zwalniani pracownicy rozumieją, że rząd nie jest stroną konfliktu i możliwości wymuszenia decyzji ekonomicznych siłą są coraz mniejsze. Siłą postkomunistów, obok skłócenia i wzajemnego wyniszczania się prawnicy, co ma nadal miejsce, było niepodejmowanie trudnych spraw, odkładanie ich, albo obciążanie innych.

Miller oskarża o wszystko rząd Buzka, ale taktyka ta dziś już tylko irytuje przejawem bezradności. Rząd wreszcie przedstawił *program* dla Ożarowa. Sprowadza się on do powstania na terenie fabryki *specjalnej strefy ekonomicznej* oraz zachęcaniem firm do inwestowania. Ponadto ma być realizowany lokalny program pobudzania przedsiębiorczości poprzez **mikropożyczki** na tworzenie nowych miejsc pracy, dotacje dla małych i średnich firm oraz uruchomione szkolenie i doradztwo. Jednak liderzy protestujących pracowników już zdążyli odrzucić ten program domagając się uruchomienia produkcji kabli. Żądanie to, jako nie-realne, odrzuciła **Tele-Fonika**, a także autor oferty dla Ożarowa minister pracy – Jerzy Hausner, który powiedział, że *jeśli ktokolwiek spodziewa się wznowienia produkcji kabli, nie mam żadnej mocy sprawczej, by temu sprostać*.

Wygląda na to, że po raz kolejny **Wyzłomni i nieustępliwi** doprowadzą jedynie do katastrofy tych, których rzekomo reprezentują i w których obronie walczą. Historia Polski pełna jest tego rodzaju zachowań, a Ożarów byłby jej powtórzeniem na małą skalę. Trudno już przewidzieć, co zrobią protestujący bezrobotni pracownicy. A rząd, nie będąc stroną konfliktu, jest – jak każdy rząd na świecie – zainteresowany pokojem społecznym i w wygaszaniu konfliktów. Na to z pewnością liczą ludzie, dla których wolnorynkowe reformy okazały się katastrofą i którzy nie mogą dostrzec dla siebie szans i możliwości z nim związanych. Składający puste obietnice populiści żerują na rozpacz i biedzie takich ludzi, aby dojść do władzy i poczęstować ją biedą znacznie większą niż dziś część społeczeństwa. ■

IN FLAGRANTI

Polacy nie gęsi

Ostatnie tygodnie minionego roku upłynęły pod znakiem budżetu. Media rozkoszowały się niby-sensacyjną wiadomością, że posłowie dyskutowali nad nim przez całą noc i nad ranem, zmęczeni acz szczęśliwi, wreszcie uchwalili. Jednak zaraz zawrzało: jednym politykom i publicystom budżet się nie podoba, drudzy są nim zachwyceni. Dysputy przeniosły się oczywiście z sali sejmowej na łamy prasy i fale eteru. A jakie to polemiki!

Przed pięćdziesięciu bez mała laty George Orwell wymyślił neologizm, który można oddać w naszym ojczystym języku jako *nowomowie*. Charakteryzuje ona ustroje totalitarne, gdzie władza etatyzuje nie tylko środki produkcji i własność prywatną, ale też umysły i język swych poddanych.

Podstawowym znamiem *nowomowy* jest modyfikacja znaczenia słów; jednak nie dokonana raz na zawsze, lecz ustawicznie ponawiana, w zależności od potrzeb politycznych, władczych. Tak więc słowo *prawda* raz jest *prawdą* jedynie słuszną, innym razem kłamstwem, kiedy indziej manipulacją, to znów mactwem, półprawdą czy ćwierćprawdą.

O takiej *nowomowie* pisano w swoim czasie dysertacje. Najwybitniejszym bodaj dotychczasowym badaczem jej polsko-ludowych przejawów jest Michał Głowiński. Aż żal ogarnia, że jego znakomite, sprzed kilkudziesięciu i kilkunastu lat, książki (np. *Marcowe gadanie*, *Peereliada*, *Mowa w stanie obłąlenia* etc.) nie są powszechnie znane, czytane, cytowane. A nie są popularne dlatego, że dzisiejsi politycy i publicyści, dziennikarze, w ogóle ludzie pióra nie odczuwają potrzeby kontrolowania rozumem swych wypowiedzi i ocen. Ich słowa i myśli są, niczym współczesna demokracja polska, wyzwolone spod dyktatu rozumu i uczciwości, a podporządkowane zasadom demagogii. Politycy nie zmieniają wprawdzie – jak w *nowomowie* – znaczeń wyrazów, wszelako używają języka tylko do na-

zywiania i oceniania faktów-zjawisk, nie do ich analizy. Szukają najbardziej odpowiednich w danej chwili epitetów. Wydaje się im, że jeśli epitet jest mniej wyszukany (a za to ostrzejszy), tym mądrzejsza wypowiedź. Toteż zaraz po uchwaleniu budżetu opozycja zawołała: *jest to budżet stagnacji i regresu*; premier Leszek Miller oraz wicepremier Grzegorz Kołodko, główny winowajca, zareplikowali zaś: *budżet stabilizacji i rozwoju*. Koniec. Nikt się nie pofatygował, żeby powiedzieć, dlaczego uważa, że budżet jest dobry lub dlaczego zły. Tak jest i już!

To jest nasza nowa *nowomowa*. Skutek totalitarnych, polskoludowych spustoszeń dokonanych w naszych głowach.

W PRL władza odpowiadała poddanym, jeśli chciała i jak chciała. Nigdy publicznie z niczego się nie tłumaczyła. Jeżeli nie dawała paszportu, to poświadczając, że *wniosek obywatela został zatwierdzony odmownie z powodów społecznych*. Koniec i kropka. A że taka formuła była nie tylko językowym absurdem, lecz przede wszystkim poniżeniem owego *obywatela*, to władzy nic, absolutnie nic, nie wadziło, przeciwnie, było zgodne z jej systemem wartości i stylem rządzenia, z – jak się w owym czasie *misternie* mówiło – pryncypiami. Zwroty-oceny nie biorące pod uwagę kultury umysłowej, językowej i politycznej drugiego człowieka, nie poddane rygorowi uzasadnień – to przejaw arogancji.

Zrozumiałe więc, dlaczego premier Miller, min. Kołodko *et consortes* głoślownie twierdzą o swym dokonaniu budżetowym, że jest wspaniałe, a nie ujawniają, skąd czerpią takie przekonanie, na czym owa wspaniałość miałaby polegać. Wszak wywodzą się z tej formacji, która wobec poddanych była arogancka, a więc nigdy nie musiała im nic tłumaczyć; wystarczyło, że mówiła, iż Polska Ludowa wciąż się dynamicznie rozwija, by dzisiaj większość ludzi z kraju nad Wisłą tęskniła do tamtego *rozwoju*, któremu kres położyła *Solidarność*. Ale trzeba zapłakać, że tak samo mówią i piszą politycy z partii, które głoszą potrzebę przewartościowania wszelkich pozostałości PRL. Gorzej, tak samo *polemizują* ze sobą dziennikarze, publicyści – cały naród.

Epitety zastępują w naszej mowie publicznej przesłanki. Wystarczy bez troski o jakiegokolwiek uzasadnienie powiedzieć, napisać, że coś jest dobre lub złe, głupie czy mądre, korzystne albo szkodliwe. A jeżeli ktoś uważa, że jest inaczej, to jego sprawa. Przystąpienie Polski do *Unii Europejskiej* stanie się naszym dobrem, a przyszłoroczny budżet pobudzi gospodarkę – wołają jedni; wstąpienie Polski do wspólnoty europejskiej będzie naszą klęską, a uchwalony budżet pogłębi kryzys gospodarczy – wyrokuje drudzy. I ani ci, ani tamci nie ujawniają przesłanek prowadzących do tych ocen. Tak będzie i koniec!

Bo najłatwiej, bez żadnego wysiłku umysłowego, jedynie nazywać, oceniać, określać epitetem, nie troszcząc się o przesłanki. Przecież w końcu rzeczywistość ciągle zaklinana stanie się taka, jakiej pragniemy. A przesłanki? Rzecz martwa, pojęcie archaiczne, nieracjonalne, współczesne językowe polskie wystąpienia publiczne znakomicie się bez nich obyją. Niech tam Europa Zachodnia używa tradycyjnych zasad logiki wypowiedzi, my nikogo naśladować nie musimy, bośmy nie gęsi, a jedynie baczmą, żeby *piętmastka* nas nie oszukała i nie dała za mało pieniędzy.

Jacek Wegner

Jan Pruszyński

Wiara i architektura

Panie, dobrze nam tu być, chciesz – uczynimy Ci trzy przybytki – tak według ewangelicznej relacji św. Mateusza (17, 1-2) zareagował Piotr na oglądane wraz z Jakubem i Janem przemienienie Pańskie na górze. I choć nowe przekłady Pisma Świętego zmieniły, nie wiedzieć czemu, *przybytki* na *namioty* – boć *przebiec beth, beit*, to zarówno dom, jak i szalas – sens pozostał ten sam: chęć uczczenia Boga budowlą wzniesioną na Jego cześć, radość z przebywania w kościele jako budowli sakralnej i w Kościele jako wspólnocie. Czynnikiem sprawującym, że Apostołowie chcieli wnieść ów *przybytek*, była ich wiara, zapewne nie różna od tej, która przyświecała pokoleniom twórców katedr, kościołów i kościółków, jak Europa długa i szeroka. Wytłumaczenie z pozoru proste, a zarazem najtrudniejsze do wyjaśnienia, bo wiara jest stanem, a nie umiejętnością i nie równa się kwalifikacjom budowlanym. Poza kwestię pozostaje jednak, że oprócz mistrzostwa w zawodzie to właśnie wiara decydowała o tym, czy budowla sakralna miała u przybywających w niej powodować poczucie jedności i zbliżenia do Boga.

Nie wiemy czy i pod jakim natężeniem działali, można się jednak domyślać, że nie chęć zysku była zasadniczym powodem tworzenia arcydzieł budownictwa i sztuki zdobniczej, ani staranności ich wykonania. Dotyczyło to zresztą nie tylko potężnych i warownych klasztorów, dających schronienie okolicznym mieszkańcom podczas wojen i najazdów, wielkich katedr górujących nad miastami, ale i małych świątyniek drewnianych.

W pięknej legendzie, dotyczącej budowy jednej z katedr na ziemiach niemieckich, mistrz surowo skarcił czeladnika za to, że jeden z kamiennych aniołów zdobiących wieżę ma nogi nierównej długości, a gdy ten burknął: *a kto to*

dojrzy tam w górze, panie majster – odpowiedział krótko: *Pan Bóg – durniu!*

Łatwo było zrozumieć przyczynę usytuowania kościoła tak, aby w chwili Podniesienia podczas sumy – głównej Mszy św. – promienie słońca padały przez witrażową glorię lub skromne okienko prosto na ołtarz, czy też powód odsunięcia ołtarza od ściany – jeżeli znano się treść psalmu – *Umywam moje ręce na znak niewinności i obchodzę Twój ołtarz, Panie*. Jeśli ktoś chciał poznać historię kościoła, widział portrety jego fundatorów klęczących z pokorą przed Bogiem. Gdy chciał zapamiętać grzechy główne, patrzył na freski, na których pychę postaciował paw, złość – wilk, nieczystość – wieprz... Nie trzeba było tłumaczyć symboliki, bo ta wynikała z tekstów biblijnych, a czasem apokryficznych, z wiekowej tradycji. Dziś musimy zacząć sobie tłumaczyć dlaczego ten czy ów święty trzyma miecz, klucz, wiośło, palmę, chleb czy krzyż, dlaczego wspiera się na kole, co znaczą podniesione przez biskupa na jego kamiennym nagrobku dwa palce, trzymana w rękach książka, woreczek lub miecz... Dlaczego? Bo wiara, która nadawała sens twórczości artystów, przestała zobowiązywać jej odbiorców.

Po co o tym pisać? Powód jest prosty. Po latach zakazów i ograniczeń wnosimy w Polsce coraz więcej budowli sakralnych, coraz rzadziej jednak budują one uczucia modlitewne i odczucia estetyczne. Klinkierowa cegła, nieregularne formy, wnętrza przypominające hale sportowe lub widowiskowe, niekształtne wieże dzwonicze. Dlaczego? Bo budowa kościoła, sądu, biblioteki czy banku to interes jak inne, a nawet lepszy, gdyż Kościół jest inwestorem wypłacalnym. Łatwo więc mówić Mu, że budowla jest nowoczesna, uni-

katowa, niepowtarzalna. Stąd projekty kościołów są *awangardowe*, a to w formie kurhanu, a to w kształcie estakady lub przypominające scenografię *gwiazdnych wojen*, zaspokajając próżność autorów i ich zamiary wzniesienia budowli, jakiej jeszcze nie było. Nie daj jednak Boże narazić się owym *nowoczesnym* architektom, którzy – zapatrzeni we własne projekty jak Narcyz w swe odbicie – uważają, że nawiązywanie do tradycji to bezmyślne naśladownictwo, dowód złego gustu a nawet zacofania. Brak im za to wycucia historycznego, zrozumienia ciągłości dziejów chrześcijaństwa i świadomości, że budowie obiektów poświęconych Bogu nadawała zawsze sens tradycja i wiara w to, że, wznosząc *dom Boży*, budują wspólnotę ludzi w Niego wierzących, nie zaś pomniki własnej pychy. Dlatego budując *kościół Boży między nami między ludźmi*, powinniśmy odwoływać się raczej do wiary niż do finansowej szczytności mierzonej złotymi, euro czy dolarami, która nie wzbogaci wiary a jedynie budowniczych.

Najbardziej sugestywny obraz powstawania projektu świątyni nakreślił ponad sto lat temu Władysław Łoziński – lwowski historyk, badacz dziejów ojczystych, powieściopisarz i nowelista. Oto mieszkańcy podkarpackiej wioski postanowili wybudować kościółek, oczywiście drewniany. Wezwali więc znanego w okolicy budowniczego – samouka. Przyszedł pieszo i bosy, wysłuchał cierpliwie życzeń, by świątynka była taka sama, jak w sąsiedniej, bogatszej wsi. Po czym usiadł na ziemi w miejscu budowy, zamknął oczy i zamyslił się, a może się modlił, by następnie wstać i tonem wykluczającym wszelkie dyskusje stwierdzić, że będzie ona całkiem inna od zamówionej, bo taką *zobaczył*. W dziedzictwie Europy szczególne znaczenie ma architektura, a budowle sakralne to nie tylko depozyt wiary pokoleń, i dowód przynależności do kręgu cywilizacji stworzonej przez wiarę, lecz także kultury. Zechciejmy o tym pamiętać, by, wchodząc do nowo wzniesionej świątyni, móc powiedzieć sobie: *Panie, dobrze nam tu być!* ■

PLASTYKA

Trzej Królowie się kłaniają

Temat składania hołdu nowonarodzonemu Dzieciątku przez przybyłych ze Wschodu Trzech Króli (Monarchów, Magów, Mędrców) bliski był zawsze artystom lubiącym efektowny przepych, oryginalną egzotykę i umacniające się u schyłku średniowiecza możliwości operowania perspektywą. Przybyli do Jeruzolimy Królowie pytali: *Gdzie jest nowonarodzony król żydowski? Ujrzelśmy bowiem jedyną gwiazdę na Wschodzie i przybyliśmy oddać mu pokłon* (Mt 2, 1-2). Legenda opowiada, że gwiazda prowadząca Trzech Króli różniła się od innych: nie tkwiła na firmamencie, ale zawieszona była w powietrzu, blisko ziemi i była piękniejsza od innych gwiazd i jaśniejsza od słońca. Gwiazda poleciała Królom udać się do Dzieciątka, aby oddać mu hołd. *Weszli do domu* – mówi Mateusz – *i zobaczyli Dziecię z Matką*

Jego, Maryją; upadli na twarz i oddali Mu pokłon. I otworzywszy swe skarby, ofiarowali Mu swe dary: złoto, kadzidło i mirrę. Dary te symbolizują godność królewską, boską i mękę Chrystusa.

W nastawie ołtarza *Hołd Trzech Króli* (obecnie w florenckiej *Galerii Uffizi*) w roku 1423 malarz Gentile da Fabriano wizję opisaną w apokryfach przetworzył w pełną przepychu i fantazji scenę z długim orszakiem ludzi i zwierząt, który zdaje się nie mieć końca. Kilkanaście lat później inny wspaniały malarz włoskiego Quattrocento Benozzo Gozzoli na fresku dekorującym florenckie *Palazzo Medici*, wijący się serpentynami przebogaty orszak Trzech Króli, umieścił na tle typowo tokańskiego, górzystego krajobrazu, uwieńczonego odległym zamkiem. Imponujący ten pochód tworzą grupy kłnnych

i pieszych rycerzy, ubranych we wspaniałe stroje wschodnie i florenckie. Rysy ich twarzy to wizerunki współczesnych florenckich dostojników. Również i w polskim malarstwie XV wieku, jeszcze co prawda typowo gotyckim i zdecydowanie uboższym, wyróżnić można grupę obrazów przedstawiających *Hołd Trzech Króli*, na których wizerunki Monarchów przypominają oblicza polskich króli. Widać to wyraźnie na kwaternionie ołtarza Matki Boskiej Bolesnej w wawelskim kościele katedralnym. Najstarszy z oddających hołd Dzieciątku Monarcha przypomina króla Kazimierza Wielkiego, drugi – średniego wieku – Ludwika Węgierskiego, trzeci zaś, najmłodszy – Władysława Jagiełłę. Tak więc ewangeliczni przedstawiciele świata pogańskiego (Magowie, Mędrcy), na tworzących gotyckie i renesansowe ołtarze obrazach, z czasem przybrali oblicza chrześcijańskich władców.

Jarosław Kossakowski

PRZEGLĄD PRASY

Jaka Unia?

Kiedy ten numer *PiP* dotrze do Czytelników, będzie już po szczycie w Kopenhadze, na którym *UE* podyktuje warunki naszego członkostwa. Choćby rysują się one bardziej niekorzystnie niż przedstawiano to jeszcze dwa lata temu, to jednak niemal wszystkie tygodniki unikają jak ognia konkretów, które na najbliższe lata zdecydowały o losie polskiej gospodarki.

Jeszcze rok temu panowało hurraoptymistyczne przekonanie, że (dzięki zastrzykowi unijnych pieniędzy) nasz kraj czeka przyspieszony rozwój. Teraz, kiedy okazało się, iż będziemy musieli rozwijać się głównie za nasze własne pieniądze: *Polityka*, *Gazeta Wyborcza*, *Rzeczpospolita* i *Wprost* zmieniły ton i zaczęły pisać, że korzyści z przystąpienia do *UE* nie możemy mierzyć li tylko

wysokością uzyskanych dotacji. Mówi się teraz dużo o geopolityce, wspólnocie historycznej i kulturowej, utrwaleniu naszej niezależności od Rosji, zapominając o tym, że właśnie pieniądze były jedynym powodem, dla którego *Unia* powstała pół wieku temu i dla którego istnieje (choćby w innej postaci).

Zwłaszcza naszym niedouczonej liberałom należy przypomnieć, że ustanowiona w 1952 roku *Europejska Wspólnota Węgla i Stali* (BeNeLux, Niemcy, Francja) była prostą konsekwencją *Planu Marshalla*, dzięki któremu Zachód otrzymał od Ameryki (za darmo) ponad 13 miliardów dolarów. Pół wieku temu siła nabywca dolara była piętnaście razy większa niż obecnie, w Europie wstrzyknięto więc niebotyczną kwotę, odpowiadającą dzisiejszym 200 miliardom! Aby opanować i sensownie zagospodarować ten strumień gotówki, należało poddać go rygorystycznej kontroli państwowej. Tym,

którzy jedyny ratunek dla polskiej gospodarki widzą w hasle *mniej państwa* przypomnijmy zatem, że niebywały rozkwit dobrobytu w *EWG* dokonał się pod hasłem całkowicie przeciwnym. Gdyby nie sensowne mechanizmy regulujące produkcję, inwestycje i handel, te pieniądze byłyby zmarnowane. Tylko bowiem państwo dysponuje instrumentami kierującymi gospodarkę w odpowiednim kierunku. I tak jest w *Unii* do dzisiaj. Nikt tam nie zajmuje się geopolityką w sensie ideologicznym czy rozmyślaniami o historycznej wspólnocie kulturowej. *Unia* rządzi księgowi i finansistami, pilnujący sensownego i korzystnego (dla państw zrzeszonych w *UE!*) wydania każdego centa. Tymczasem politycy w Polsce, i to niezależnie od orientacji, mieszają mityczny *wolny rynek* z całkowitym bezhołowiem. *UE* osiągnęła dobrobyt tylko dzięki temu, że ów *wolny rynek* poddała ścisłej kontroli i reglamentacji. ⇨

W UE pilnuje się gospodarki przy pomocy instrumentów ekonomicznych: odpowiedniego ukierunkowania inwestycji, tanich kredytów i ulg podatkowych, cel na towary spoza UE oraz odpowiedniej polityki bankowej, służącej rodzimym przedsiębiorcom. Do tego dochodzi odpowiednia polityka socjalna, na którą Unia przeznaczą ponad połowę swojego budżetu! Bo właśnie niczym innym, jak polityką socjalną, są dopłaty dla rolników. Dzięki nim unijni rolnicy mają pracę, a wszyscy konsumenci – tanią żywność. To samo robią z powodzeniem od lat Amerykanie, Kanadyjczycy i Japończycy; gdyby hasło *wolnego rynku* chcieli oni zastosować sami do siebie, ich narodowe gospodarki znalazłyby się w jednej chwili na skraj bankructwa. Tym bardziej dziwi mnie fakt, że o tej elementarnej prawdzie nie wie Jan Nowak-Jeziorański (od dziesięcioleci mieszka, żyje i kupuje na Zachodzie). Oczywiście ważne są imponderabilia historyczne, geopolityczne i kulturowe, o których pisze w *GW* (9 XII 02), ale jeśli chodzi o *Unię*, to jednak pieniądze są ważniejsze, w każdym razie dla NICH.

Przypomnijmy, że nasz roczny deficyt w handlu z *Unią* wynosi niezmiennie 6 – 8 miliardów dolarów, a to oznacza, że biedna Polska wspomagała przez 10 lat w unijną gospodarkę 70 miliardów. Niech ekonomiści obliczą, ile za te pieniądze ubyłoby w kraju miejsc pracy, o ile zmniejszy-

ła się nasza produkcja i skurczył obszar uprawianej ziemi.

O tym ostatnim gazety piszą małym druczkiem. Ba! dla *Gazety Wyborczej* czy *Rzeczpospolitej* ważniejszy jest o. Rydzki i jego *Radio Maryja*, o czym publikuje się sążniste artykuły zaczynające się na pierwszej stronie. I tylko w środku, na stronach, które czytają specjalści (*Rzeczpospolita* z 10 XII 02) możemy znaleźć informację, że np. od czasu, kiedy fabryki papierosów sprzedałyśmy zachodniemu kapitalowi, obszar uprawy tytoniu w Polsce zmniejszył się ponad trzykrotnie! A co z chmielom i rzepakom? Od kiedy polskie browary zmieniły właścicieli, ze znaczącego eksportera chmielu staliśmy się jego znaczącym importem. Od kiedy zakłady tuszczowe w Kruszwicy wykupił zachodni kapitał, rolnicy na Kujawach mają kłopoty ze sprzedażą rzepaku...

Jaka więc będzie Polska po przystąpieniu do *Unii*? Nie chcę być fałszywym prorokiem, ale na razie obawiam się, że w ciągu pierwszych 3 – 5 lat członkostwa czeka nas załamanie gospodarcze i gwałtowny wzrost bezrobocia. Oczywiście przykład krajów stowarzyszonych z UE pokazuje dobitnie, że żaden z nich na akcesie nie stracił, ale powinniśmy wiedzieć, że poprawa sytuacji gospodarczej zaczniemy odczuwać nie wcześniej niż po dziesięciu, piętnastu latach.

AWP



foto: P. Życieński

CHWILA MUZYKI

Czy kompozytor może być zbawiony?

Wyobraźmy sobie archetyp Kompozytora na Sądzie Ostatecznym. Archanioł Michał spogląda groźnie, a szala wagi powoli, acz zdecydowanie chyli się ku piekłu – ideologia Richarda Wagnera, tak często łączona z nazizmem, moralnie wątpliwe igraszki z kobietami przypisywane Mozartowi, niewątpliwe przypadki alkoholizmu, narkomanii, ekscyzy seksualne, liczne choroby weneryczne, samobójstwa, w końcu rzekome morderstwo w imię sławy kompozytorskiej Salieriego, szaleństwo Beethovena... To wszystko czyni z Kompozytora raczej monstrum, straszące grzeczne dzieci niż świetlany Wzorczec do Naśladowania. Postawa jego kojarzy się z obsesyjnym zaangażowaniem w muzykę, wręcz z obłąkaniem, absolutnie wykluczającym wyznawanie jakiegokolwiek religii.

Lecz czy naprawdę trzeba wybierać? Czy kompozytor z założenia zbawiony być nie może? Czy udane utwory można skomponować jedynie wchodząc w konszachty z Szatanem? Tego zapewne nie dowie się nikt, zanim nie zaczął dźgać go widłami przy akompaniamencie własnych utworów. Ale jest, jak sądzę, nadzieja. Nadzieja najlepiej wyrażana przez artystów średniowiecznych w formule *Ad maiorem Dei gloriam*, którą podpisywali każde dzieło. Nawet nie tematyka utworu, ale światopogląd samego autora decyduje o tym, czy służy on Boskiej chwale. Ponieważ muzyka jest tworem ludzkim, a pięknym, który nie tylko wierze nie zaprzecza, ale wręcz jej służy, pod jednym warunkiem – pamięci o Przykazaniach. Szczególnie Kompozytor musi je stale mieć na uwadze i umiejętnie a przede wszystkim przemyślnie stosować.

Ostatecznie bowiem – któż komponowałaby w Niebie utwory dla licznych anielskich chórów?

Maria Szreder

Wychowawca
miesięcznik nauczycieli i wychowawców katolickich

Wspiera proces wychowawczo-dydaktyczny szkół przez:

- artykuły formacyjne,
- konspekty lekcji wychowawczych i zajęć profilaktycznych,
- scenariusze teatralne na święta, rocznice i uroczystości szkolne.

Tematy najbliższych numerów:

- styczeń – **10 lat razem: Jubileusz Wychowawcy**
- lutym – **Niepowodzenia szkolne**
- marzec – **Wychowanie prozdrowotne**

Wychowawca stanowi cenną pomoc dla dyrekcji szkół, nauczycieli, wychowawców i katechetów. W trudnej sytuacji finansowej placówek oświatowych warto, aby rodzice (z funduszu Komitetu Rodzicielskiego) lub Księża Proboszczowie – zaprenumerowali *Wychowawcę* dla swoich szkół!

Warunki prenumeraty:

Przyjmowane są zamówienia listowne, telefoniczne, e-mailem lub faksem.

Cena prenumeraty 1 egzemplarza:

- półroczna (6 numerów)** – 24 zł
- roczna (12 numerów)** – 45 zł

Należność za prenumeratę należy wpłacić na konto: BPH III/O Kraków nr rach. 10601406-320000680999 Polskie Stowarzyszenie Nauczycieli i Wychowawców, ul. Mikołajska 17, 31-027 Kraków, tel./fax (012) 423 23 24

www.wychowawca.pl

**CHODŹ Z NAMI
BUDOWAĆ KRÓLESTWO BOŻE!**

Misjonarze Św. Rodziny

zapraszają młodzież męską na spotkania rekolekcyjne w czasie ferii zimowych, których celem jest: **zaproszenie do większego radykalizmu...** Spotkania odbędą się w następujących terminach przy naszym Misyjnym Seminarium Duchownym:

25 – 30 stycznia KAZIMIERZ BPI k. Konina
1 – 6 lutego KAZIMIERZ BPI k. Konina

Spotkania te są również dobrą okazją poznania naszej rodziny zakonnej.

Zgłoszenie, jak również bliższe informacje o nas, znajdziesz pod adresem:

Referat Powołaniowy MSF,

ul. Kołłątaja 80/82, 05-402 OTWOCK 4

Tel.: 022-788 22 79 kom.: 0 604 213 486

e-mail: powolaniamsf@msf.opoka.org.pl

<p>Odcinek dla wplacającego</p> <p>zł..... słownie..... złotych..... wplacający..... adres..... kod pocztowy.....</p>	<p>Odcinek dla posiadacza rachunku</p> <p>zł..... słownie..... złotych..... wplacający..... adres..... kod pocztowy.....</p>	<p>Odcinek dla poczty</p> <p>zł..... słownie..... złotych..... wplacający..... adres..... kod pocztowy.....</p>	<p>Odcinek dla banku</p> <p>zł..... słownie..... złotych..... wplacający..... adres..... kod pocztowy.....</p>
<p>„Powściągliwość i Praca” ul. Piłsudskiego 248/252 05-261 Marki 4</p>	<p>„Powściągliwość i Praca” ul. Piłsudskiego 248/252 05-261 Marki 4</p>	<p>„Powściągliwość i Praca” ul. Piłsudskiego 248/252 05-261 Marki 4</p>	<p>„Powściągliwość i Praca” ul. Piłsudskiego 248/252 05-261 Marki 4</p>
<p>PKO BP SA IV O/W-wa Filia Wołomin nr 55-10201042-122460033</p>	<p>PKO BP SA IV O/W-wa Filia Wołomin nr 55-10201042-122460033</p>	<p>PKO BP SA IV O/W-wa Filia Wołomin nr 55-10201042-122460033</p>	<p>PKO BP SA IV O/W-wa Filia Wołomin nr 55-10201042-122460033</p>
<p>Opiata..... Datownik..... podpisz przyj.....</p>	<p>Opiata..... Datownik..... podpisz przyj.....</p>	<p>Opiata..... Datownik..... podpisz przyj.....</p>	<p>Opiata..... Datownik..... podpisz przyj.....</p>



Dzieje Kościoła – z woli Boga – znaczone są biografiami wielkich świętych ludzi. Ludzi z krwi i kości, tych spośród nas, ale też takich, którym udało się (rzec by można) mocno uchwycić się ręki Zbawiciela, iść Jego drogą – wprawdzie krzyżową, jednak zawsze świętą i przybliżającą innym świętość, czyniąc ją (po ludzku) osiągalną.

Postać o. Pio – dziś świętego – fascynuje i intryguje od lat, nie tylko ludzi wierzących. Skromny, cichy żywot wernego syna Biedaczyny z Asyżu jest wyzwaniem dla dzisiejszego świata. Wielka tajemnica uczestniczenia w udręce stygmatów Zbawiciela w pewnym sensie uczyniła z Ojca Pio proroka naszych czasów. Zaś jego heroiczny dy-

żur w trybunale pokuty w oczach milionów ludzi uczynił żeń *Chrystusowego ministra od spraw beznadziejnych*. Garnięto się więc do niego, mimo iż często mówił ludziom słowa bardzo twardej prawdy. Zzymali się czasem, odchodzili, ale powracali, kłękali pod błogosławieństwem krwawiącej ręki pokornego mnicha, który potrafił pokazać im kawałek nieba, obudzić nadzieję...

Świat chrześcijański ucieszył się kanonizacją Ojca Pio. Świadczyły o tym setki tysięcy ludzi uczestniczących w uroczystościach na Watykanie. My, Polacy, cieszymy się dodatkowo – dokonał tego aktu nasz rodak Jan Paweł II.

Wydawnictwo Michalineum – mając na uwadze, że o. Pio żył jakby w cieniu wielkiego sanktuarium św. Michała Archanioła na Gargano (kustosza mi są obecnie Michalicy) – postanowiło przybliżyć zarówno samą postać, jak i warunki w jakich żył święty Stigmatyk. Uczyniło to w sposób bardzo wykwintny: wydając album *Wielki Stigmatyk – Święty Ojciec Pio*. Ponad 60 kolorowych zdjęć autorstwa Grzegorza Gałązki wzbogaconych zostało tekstami św. o. Pio i Jana Pawła II. Wstęp do dzieła napisał o. Gabriel Bartoszewski OFM Cap. Zarówno wstęp, jak i teksty św. Pio wskazują potrzebę ogromnego zaufania Miłosierdziu Bożemu, w ogóle w potrzebę modlitwy – zwłaszcza różańcowej.

Św. o. Pio nazywa Maryję *kotwicą, której trzeba się mocno trzymać, zwłaszcza w czasach próby i doświadczeń*. W książkach szuka się Boga – mówi św. o. Pio – *zaś w modlitwie Boga się znajduje... Jest mądrością dostrzegać w różnych wydarzeniach wolę Boga i umieć ją uszanować...* Oto niektóre *złote myśli* św. o. Pio wzbogacające ten album. Papież natomiast uważa za *rzecz znamienitą, że dziś Kościół postępowemu światu ukazuje ubożego Brata, który się modli i świadczy miłość miłosierną wobec najsłabszych i najuboższych...*

Album *Wielki Stigmatyk – Święty Ojciec Pio*, ze zdjęciami Grzegorza Gałązki, wydany przez **Wydawnictwo Michalineum**, sam siebie doskonale reklamuje.

Album można zamówić pod następującym adresem:

Wydawnictwo Michalineum
ul. Piłsudskiego 248/252
05-261 Marki

tel. 0 (22) 781-14-20, fax (22) 771 36 15
e-mail: wydawnictwo@michalineum.pl

Cena jednego egzemplarza wynosi 25 zł plus koszty wysyłki.

Wydawca Miesięcznika PiP:
Wydawnictwo **MICHALINEUM**
Przy Kurii Generalnej
Zgromadzenia Św. Michała Archanioła.
Dyrektor Wydawnictwa Michalineum
ks. Krzysztof Kuźnik CSMA

Redaguje Zespół:
red. naczelny: ks. Sylwester Łącki CSMA
tel. (22) 771-45-95 lub 0 602 603 717
e-mail: pip@michalineum.pl

Adres redakcji:
PiP, ul. Piłsudskiego 248/252,
05-261 Marki k. Warszawy.
Telefon Wydawnictwa: (22) 781-16-40.

Skład, łamanie, druk:
Drukarnia **MICHALINEUM**.
Grafika komputerowa:
ks. Andrzej Rybicki CSMA

Redakcja nie zwraca maszynopisów
nie zamówionych.

Najkorzystniejsza jest prenumerata

Warunki prenumeraty

Roczna prenumerata 1 egz. wynosi 48 zł.
Oplatę na prenumeratę należy wpłacać na
konto:

PKO BP SA IV O/Warszawa
Filia Wołomin
55-10201042-122460033

W miejscu przeznaczonym na korespondencję prosimy wpisać okres prenumeraty i liczbę prenumerowanych egzemplarzy. Miesięcznik można otrzymać również za pobraniem pocztowym. W przypadku zamówienia większej ilości egzemplarzy (ponad 10) udzielamy rabatu.

Zamówienia na czasopismo
prosimy kierować na adres:
Wydawnictwo MICHALINEUM
(Dział Kolportażu)
ul. Piłsudskiego 248/252
05-261 Marki
tel. (22) 781-14-20.

Redakcja dysponuje ograniczoną ilością
egzemplarzy archiwalnych.

Czasopismo można także nabyć w następujących domach zakonnych Zgromadzenia:
1. Warszawa-Bemowo II, ul. Ks. Markiewicza 1
2. Miejsce Piastowe, ul. Ks. Markiewicza 25a
3. Kraków, ul. Kazimierza Wielkiego 95a
4. Stalowa Wola, ul. Ofiar Katyńa 57
5. Toruń, ul. Rybaki 59

Za zgodą władz kościelnych

DRODZY CZYTELNICY !

Informujemy, że cena jednego egzemplarza miesięcznika

Powściągliwość i Praca,

od stycznia 2003 roku wynosi **4,00 zł.**

Zachęcamy do prenumeraty naszego czasopisma.
Koszty wysyłki pokrywa redakcja.

Prenumerata krajowa 1 egzemplarza wynosi:
roczna – 48 zł
półroczna – 24 zł

Prenumerata zagraniczna 1 egzemplarza wynosi:
w Europie:
roczna – 30 \$
półroczna – 15 \$
w pozostałych krajach:
roczna – 46 \$
półroczna – 23 \$
(lub równowartość w zł)

Przy zamówieniu 10 egzemplarzy udzielamy rabatu.

Aby otrzymać *Powściągliwość i Pracę* do domu, wystarczy czytelnie wypełnić zamieszczony obok blankiet, zaznaczając, na odwrocie, okres prenumeraty oraz ilość egzemplarzy, wyciąć go oraz wpłacić na pocztę odpowiednią kwotę.

Prenumeratę można rozpocząć w dowolnym czasie na okres roku lub półroczna.

Prenumerata miesięcznika *Powściągliwość i Praca* może stanowić szczególnie miły upominek dla przyjaciół lub krewnych, zwłaszcza mieszkających za granicą, a także dla starszej lub chorej osoby, której skromna emerytura wystarcza jedynie na podstawowe potrzeby.

Rozpowszechniając prasę katolicką, włączasz się w dzieło Nowej Ewangelizacji, przyczyniasz się do formowania zdrowej opinii publicznej, pomagasz innym odkrywać piękno ewangelicznych wartości, stajesz się świadkiem Chrystusa.

Stałych Czytelników *PiP* zachęcamy do propagowania naszego miesięcznika wśród krewnych i znajomych, a tym, którzy już przyczynili się do jego popularyzacji, serdecznie dziękujemy.

W razie jakichkolwiek nieprawidłowości z realizacją prenumeraty, uprzejmie prosimy o pilną informację na adres redakcji.

Bog zapłaci! – egz.	<input type="checkbox"/> – półroczna <input type="checkbox"/> – roczna	Prenumerata miesięcznika Powściągliwość i Praca na rok 2003
Bog zapłaci! – egz.	<input type="checkbox"/> – półroczna <input type="checkbox"/> – roczna	Prenumerata miesięcznika Powściągliwość i Praca na rok 2003
Bog zapłaci! – egz.	<input type="checkbox"/> – półroczna <input type="checkbox"/> – roczna	Prenumerata miesięcznika Powściągliwość i Praca na rok 2003
Bog zapłaci! – egz.	<input type="checkbox"/> – półroczna <input type="checkbox"/> – roczna	Prenumerata miesięcznika Powściągliwość i Praca na rok 2003